MELCHIOR WANKOWICZ

DZIEJE RODZINY KORZENIEWSKICH

MELCHIOR WANKOWICZ

•

DZIEJE RODZINY KORZENIEWSKICH

•

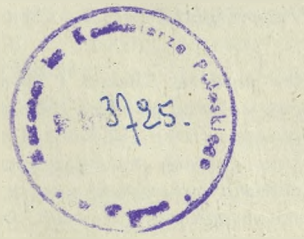

Published in the United States by the

NATIONAL COMMITTEE OF AMERICANS OF POLISH DESCENT, INC.

105 East 22nd Street New York, N. Y.

PRINTED IN THE U. S. A.

MELCHIOR WANKOWICZ — urodzony w 1891 *w Kałużycach (Mińszczyzna). Gimnazjum w Warszawie (udział w strajku szkolnym* 1905). *Uniwersytet w Krakowie, Wydział Prawny i Historja.*

Praca w POW na Wschodzie. Udział w wojnie Polsko-Rosyjskiej.

Autor „Szczenięcych Lat" (pamiętniki) „Strzępów Epopei" (walki o Niepodległość na Wschodzie), „Kościołów w Meksyku" (reportaże z czasów krwawych prześladowań katolicyzmu w Meksyku), „Opierzonej Rewolucji" (Rosji Sowieckiej), „Na Tropach Smętka" (książka o Prusach Wschodnich, surowo zakazana w Niemczech), i „Sztafety" (książka o dorobku pierwszego dwudziestolecia w Niepodległej Polsce i o Centralnym Okręgu Przemysłowym).

Wańkowicz był przez pewien czas na Bliskim i Środkowym Wschodzie jako korespondent wojenny Polskich Sił Zbrojnych. Tam właśnie zostały napisane „Dzieje Rodziny Korzeniewskich", oparte całkowicie na faktach autentycznych i sprawdzonych, gdzie jedynie nazwiska prawdziwe zostały zastąpione na inne, ze względu na bezpieczeństwo osób, które pozostały w Rosji. W tej chwili Wańkowicz jest razem z wojskami polskimi na froncie włoskim.

SECOND EDITION — JUNE 1944

DZIEJE RODZINY KORZENIEWSKICH

To było w Ognisku Polskiego Czerwonego Krzyża w Teheranie. Zjadłem kolację i przeglądałem pisma. Goście się rozchodzili i poczynało się robić pusto.

Młoda dziewczyna siedząca przy kasie, skończyła obliczać obrót dzienny i spojrzała parokrotnie na mnie w sposów niezdycydowany. Czułem, że chce coś mi powiedzieć. Pod jakimś pretekstem podszedłem do kasy, by jej to ułatwić. Podniosła na mnie oczy:

— Czy pan mnie nie pamięta?

Nie, nie pamiętałem.

— Skądże zresztą może pan pamiętać — tłumaczyła się nieco speszona — był pan u nas w domu na dwa lata przed wojną. Miałam wówczas piętnaście lat, byłam w szóstej klasie. Dał mi pan wtedy swój autograf; napisał pan w nim, że chciałby, żebyśmy się poznały z Tirliporkiem, z którym jesteśmy w jednym wieku. Jestem Korzeniewska . . . Hanka Korzeniewska.

Naturalnie, że wówczas przypomniałem sobie. Korzeniewski! Dzielny działacz na ziemiach zachodnich. Spotkaliśmy się w pracy. Kiedy, w dobie łagodzenia stosunków z Niemcami, zdecydowano Związek Obrony Ziem Zachodnich przemianować na Związek Zachodni, oburzał się na te kompromisowości do niczego, jak mówił, nie prowadzące, był za przedłużeniem zaostrzonego kursu i w konsekwencji stanowisko w Związku Zachodnim opuścił, nie przestając jednak być jego czynnym członkiem. I to wówczas właśnie, przyjechawszy na zaproszenie Związku z odczytem do Katowic, byłem gościem państwa Korzeniowskich.

Znagła mi stanął w oczach ten dom. Wyraziście. Jakieś ciasteczka wyśmienite domowej roboty i te zabawne buźki trzech pensjonarek, przejętych z powodu „ważnego" gościa i pielgrzymujących po autografy. Takie same kozy jak moje. A wdzięczne to, a przejmujące się, a reagujące. I ten najmłodszy dziewięcioletni Jurek, pytający rze-

czowo, czy kajak, którym jechałem po Prusach Wschodnich, był opatrzony w motor i ilokonny.

I, ja miałem wówczas jednego syna, trzy córki..."

Więc kiedy tak oto znagła w Teheranie ogarnęło mnie wspomnienie tego domu, powiedziałem z gotowością, sam nie spostrzegając, że jure caduco przechodzę na „ty", w stosunku do dorosłej panienki:

— No to ja przyjdę do was, Haneczko! . . . Gdzie mieszkacie?

I nagle przestraszyłem się. Hanka patrzyła na mnie upartemi, brązowemi oczami. Hanka ma ciało mocno związane; kości policzkowe nieco wystające, znamionują wolę.

— Ja sama jestem — powiedziała rzeczowym głosem. Rodzina umarła w Rosji.

To słowo: „rodzina", brzmiało jak odpowiedź na jakimś formularzu, jak pozycja w wykazie.

Ale ja pamiętałem zbyt żywo zapach tych jakichś doskonałych anyżowych ciasteczek i te mysie ogonki i tę czupurność chłopca, dochodzącego prawdy o motorze i uśmiech matki i spokojną niefrasobliwą zachodnią mowę ojca.

Chwyciłem dziewczynę za rękę:

— Jakto, Haneczko? Co się stało? Bo owo „rodzina umarła" wyglądało jakby zdarzyła się jakaś nagła, pochłaniająca katastrofa.

Wówczas nieco ustąpiła ze swojej rzeczowości. Zaczęła opowiadać — zrazu twardo i nieufnie. Czy może bała się — że ta historja jej życia będzie dla słuchacza sensacją, łaskoczącą współczucie w sposób niekosztowny — tu, w tym zasobnym Teheranie? Czy może przebijając się przez świat ze swojem cierpieniem pośród tylu cierpień nauczyła się nie zabierać niem miejsca innym? Któż wie, przez jakie żarna doświadczeń przeszła?

Raz dałem komuś przybyłemu z Rosji spisaną przeze mnie historję 1600 więźniów Polaków, pędzonych przez pięć dni bez jedzenia i wody z więzienia w Starej Wilejce do Borysowa, tak, że ludzie próbowali pić własną urynę z czapek, filtrowaną przez chusteczki. W tym czasie z

liczby 1600 straże dobiły 400, zbyt osłabionych, a rozbestwieni dozorcy złapawszy jednego, który rzucił się do ucieczki, kazali innym pędzonym, którym nie pozwalano załatwiać naturalnych potrzeb, oddawać kał na trupa. Znajomy mój odczytał nazwiska skrzętnie zebrane, miejscowości, daty i godziny i rzekł z uwagą:

— Szablonowa historja . . .

Hanka Korzeniewska opowiedziała mi też — szablonową historję.

Najprzód był — jakże „szablonowy" — wrzesień.

Ojciec odesłał rodzinę do Krakowa a sam pozostał w Katowicach.

W dużym domu Związków Zawodowych, w domu, w którym poroztasowywały się wycieczki harcerskie, znalazła się cała rodzina.

Zapamiętajmy:

Matka — pięćdziesięcioletnia.

Ola — dwudziesto-dwuletnia.

Hanka — siedemnastoletnia; właśnie na wiosnę otrzymała maturę.

Jurek — dwunastoletni.

Antosia — służąca, będąca w rodzinie od urodzenia Jurka.

Najstarsza, Krystyna, była w Poznaniu. Mąż, z którym właśnie się pobrała, poszedł na wojnę i zginął; potem już narodził się pogrobowiec. Jeśli nie żyje obecnie — również wszystko będzie — według szablonu. Ale Hanka nie wie, co dzieje się z Krysią.

Bracia ojca — jeden został jeńcem, dwaj — rozstrzelani przez Niemców w Bydgoszczy. Żony ich wzięte do szorowania podłóg.

56-letni ojciec miał dołączyć się niebawem.

Oto dramatis personale tej szablonowej historji.

Matka jeszcze pojechała do Katowic, do ojca. Dzieci same w wielkiem mieście. Jurek oczarowany Sukiennicami. Tyle barwnych straganów! Dzieci sypią groch gołębiom na Placu Marjackim. Hanka—jak zwykle dziewczęta — otacza małego nieznośnego Jurka macierzyńską opieką.

— Chodź na Wawel, na Skałkę . . . Taki duży chłopak — aż wstyd że nie znasz tego. Może tego nigdy nie zobaczysz . . .

Różne głupstwa wygadują dziewczynki, bawiące się w mamusie, strofując lalki albo młodszych braciszków.

Dzieci przepadają na cały dzień w krainie baśni. Poczynając od Smoczej Jamy, w której smok pożerał składane sobie na ofiarę dziewice — poprzez Kurzą Stopkę, którą zamieszkiwała Święta Królowa, składająca miłość w ofierze nawróceniu Litwinów, poprzez sarkofagi królów i panteon narodowy — aż po wieżę Srebrnych Dzwonów, w której leży wskrzesiciel Państwa, zagrożonego teraz.

A kiedy wracają — tłumy ludzi stoją przed plakatami mobilizacyjnemi.

Wieczorem — jak spłoszona kokosz, nie wiedząca kogo najpierw zasłaniać skrzydłami — przyleciała matka z Katowic.

Nazajutrz, w piątek, rozpoczęła się wojna. Hanka włożyła swój mundurek Przysposobienia Wojskowego. Pamiętamy wszyscy tę młodzież, pilnie szukającą każdej posługi. W domu Związków Zawodowych, w którym mieszkali harcerze, znaleźli bombę zegarową. Z przerażeniem patrzyły dziecinne oczy — że to tak środkiem Polski, pomiędzy nimi, chodzi nieuchwytna — zdrada.

W sobotę wieczorem chlusnęła przez Kraków biedota ze Śląskiego Rybnika. Wielu było tylko w koszulach — tak uciekli z pod pierwszego ataku.

Jest drugi dzień wojny. W nocy przyjeżdża ojciec. Matka w schronie obcina sobie włosy. Świat poczyna wirować wkoło dzieci.

W niedzielę rano cały bombardowany Kraków emigruje. Jest w samochodzie znajomych miejsce na dwie osoby — wykorzystuje je matka z małym Jurkiem. Reszta — ojciec, Ola, Hanka, Antosia — idą piechotą.

Jakiż długi ten Kraków. Sukiennice są pozamykane i puste. Na jakiejś łączce na którymś kilometrze odpoczywają. Pszczoły brzęczą po kwiatach. Wtem nadlatuje

samolot niemiecki. Tuż obok wysuwa się jak żądło — długa lufa działa przeciwlotniczego — było tak zakamuflowane, że nie widzieli. Ziemia kole ukrytemi żądłami a niebo pełne jest niebezpieczeństw.

Zima zesłańców

Czekają na jakiejś stacyjce, pełnej takich uciekinierów jak oni. W przeciwnym kierunku — pod front — jadą promienne, szczęśliwe, rozśpiewane eszelony naszego wojska. Na każdej stacji sznury ludności, która ciśnie się z żywnością dla żołnierzy.

Trzy dni jadą do Lwowa. Dużo bomb, dużo trupów — ale coraz to coś z nadziei: bądź to bielutki jak z igły pociąg Czerwonego Krzyża, bądź to rozśpiewany, ukwiecony oddział żołnierzy.

Kiedy przybywają do Lwowa — widzą morze ognia. To płoną składy spirytusu. Mieszkają z rodziną w starym klasztorze o grubych murach, który przed trzema wiekami dał schronienie królowi szwedzkiemu. Nieustanne ataki bombowców. Matce się wydaje, że każda

nurkująca „Stuka" mierzy specjalnie w jej dzieci. Stale siedzą na beczkach z ogórkami w piwnicy. Chwilami beczki są „wniebowzięte".

Tymczasem na górze nad piwnicą dzieją się inne sprawy. Tam stoi oddział żołnierzy, którym dowodzi jakiś podchorążak. Dwunastego podeszły pancerne dywizje niemieckie pod Lwów, który nie miał załogi, leżąc daleko na tyłach. Nim napłynęła pomoc, miejscowe szczupłe oddziały dwoiły się i troiły. W oddziale stacjonującym w klasztorze był kapral — typowy lwowski batiar. Co noc przed świtaniem wyprawiał się z kilku kolegami i ciężkim karabinem maszynowym pod Niemców. Wracali zawsze pełni animuszu, opowiadając cuda o „Zośce". Tak nazywali swój karabin maszynowy.

Po dziesięciu dniach walk, 22 września bolszewicy podeszli pod Lwów. Miasto już nie mogło się bronić. Wiadomość o kapitulacji przyszła, kiedy ci z „Zośką" byli na zwykłym wypadzie.

Wojna skończyła się dla Lwowa; w rodzinie Korzeniewskich zaszedł ewenement: Ola zaręczyła się z tym dowodzącym podchorążym i wkrótce się pobrali.

* * *

Dni pod okupacją rosyjską nieraz gdzieindziej były opisywane. Już wkrótce wiedzieli, że perjodyczne branki ludzi, to nie przypadek. Poprostu mają ponownie miejsce wtedy, kiedy powracają po nowe ofiary „więźniarki" — wagony towarowe okratowane, przeznaczone do wywożenia porwanych ludzi.

Dla rodziny Korzeniewskich taka noc przyszła dopiero w lipcu 1940 r. Najprzód przyszli o godzinie drugiej w nocy po mieszkającą w ich mieszkaniu rodzinę wiedeńskich Żydów. Ciężko było patrzeć, jak wyprowadzali te bezbronne bezjęzyczne figurki. Reszcie kazali kłaść się spać. Ale nikt nie spał. Obławy kończyły się dopiero o siódmej rano.

Około czwartej nad ranem posłyszeli kroki. Uzbrojeni ludzie kazali im się zabrać w ciągu piętnastu minut.

Spieszącemi rękami miotali do rozwartych waliz co się trafi. Pytali enkawudzistów, czy brać ciepłe rzeczy, czy brać żywność. Odpowiedź była stereotypowa:

— Wszystko otrzymacie na miejscu.

Kiedy ich wieźli było jasno. Przechodnie zatrzymywali się i żegnali lch znakiem krzyża. Nie było między nimi ojca, który był w Lublanach ani Oli, która z poślubionym podchorążakiem mieszkała na Persenkówce. Pisali kartki i rzucali na jezdnię. Wszystkie co do jednej doszły i na Persenkówkę i do Dublan.

Jurek, dwunastoletni Jurek, kiedy ojca nie było i matka znajdowała się w śmiertelnej trwodze — począł szybko przeobrażać się w mężczyznę. Pakował rzeczy, nosił, w wagonie towarowym, w którym już było 38 osób, walczył o miejsce.

Przez szczeliny zamkniętego wagonu widać peron i co na nim się dzieje. Najprzód przybiegła Ola z mężem i z jego rodzicami. Skrzyknęli ich pod wagon. Potem nadbiegł, powiadomiony w Dublanach ojciec. I ojciec i Ola z mężem chcą dzielić los wywożonych ale straż nie puszcza. O tem decyduje N. K. W. D. w mieście.

Pod wieczór — wszyscy całą rodziną znalezli się w wagonie. Teściowie Oli zdążyli przywieźć dwa męskie ubrania, aby było co sprzedać w Rosji, otrzymali od jakiejś zakonnicy gruby ciepły wełniany szal i przynieśli nieco jedzenia. Robione to było w pośpiechu, bo lada chwila przecież pociąg mógł ruszyć. Ale pociąg ruszył dopiero po dwuch dobach oczekiwania, w niedzielę rano.

Przez szpary patrzyli na uciekającą ziemię polską. Kiedy mijali granicę, była noc ale ktoś rozeznał. Śpiewali „Jeszcze Polska". Po tej demonstracji skurczone w kątach postacie kobiece odmawiały „Pod Twoją obronę".

Jechali dziesięć dni, mimo lipcowego upału raz na kilka dni otrzymywali nieco wody. W ciągu dziesięciu dni cztery razy na stacjach karmiono ich jałową kaszą. Za każdym razem nocą, załatwiali potrzeby naturalne do dziury wybitej w podłodze. Najgorzej było z niemowlętami, dla których nie było mleka ani wody. Pieluchy rozpościerano na plecach i tak starano się suszyć.

Dziesiątego dnia wywagowano 380 osób na stacji Afanasiewskij Razjezd Swierdłowskoj Obłasti, Aczyckiego Rejonu.

Rodzina Korzeniewskich wraz z dwustu innemi osobami była wysłana na miejsce pracy do miejscowości odległej o 16 kilometrów. Szczęściem był księżyc. Szli, uginając się pod ciężarem wleczonych rzeczy. Teren był mocno górzysty i wszędzie lśniły kałuże. W powietrzu poprostu widniała kasba komarów. Ci, którzy mieli obie ręce zajęte, byli bezbronni. Ale ostatecznie nie było sposobu się obronić. Kiedy wstał świt — pochód widm katorżniczych okazał się pochodem pokrwawionych rozpuchłych masek. Okrutny karnawał.

Zalokowano ich w dwu barakach, nie mających prycz ani podłóg. Wyległy takie masy pluskiew, że było czerwono. Jurek pytał, co to za żuki.

Koło dziewiątej nastąpił obchód władz. Szli — w zbutwiałych szynelach o ziemistych apatycznych twarzach. Zatrzymali się przy baraku:

— Wsiem dowolny? (Czyście zadowoleni ze wszystkiego?)

Antocha — Poznianka gruba i bardzo wymowna, poczęła trajkotać jak karabin maszynowy — że takie coś to ona pierwszy raz w życiu widzi.

Apatycznie bawole spojrzenia:

— Niczewo, priwyknietie! (Głupstwo, przyzwyczaicie się . . .)

Straszna beznadziejność ogarnęła wszystkich. Jakby stali przed szarą wysoką posępną i niemą ścianą.

Siedemnastoletnia Hanka wraz z pięćdziesięcioletnim ojcem i Antochą — otrzymali pracę przy ziemnych robotach. Tama była spartolona i należało z powrotem z niej wydobywać glinę z głębokości dwudziestu metrów. Glina tak lgnęła do łopaty, że woleli ją nakładać do niewywrotnej wagonetki, którą trzeba było naładowywać przez wierzch. Pracowali w upale, glina schła szybko i wracali do domu w sztywnej skorupie gliny. Ubrań roboczych nie dawano.

„Potem nas przenieśli na drzewne roboty. Fachowiec drzewny, który był wywieziony wraz z nami, obliczał, że w dolinie gnije narąbanego i naspławianego materjału na 40 miljonów złotych."

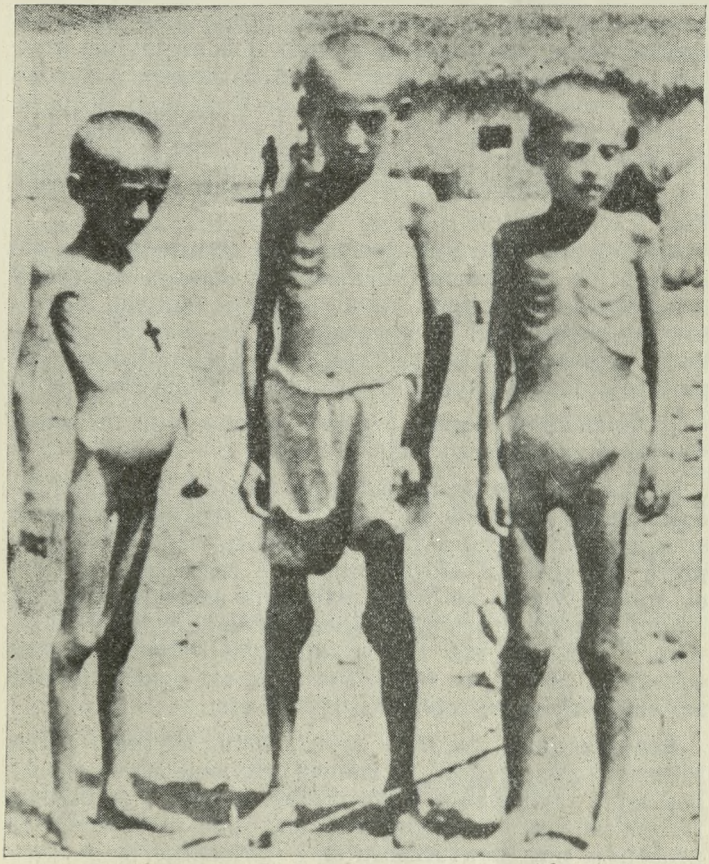

Dzieci zesłańców

Ola z mężem najpierw pracowali przy drodze a potem również przy drzewie. Matka i Jurek byli zwolnieni od roboty ale też nie dostawali pełnej racji. Pełna norma leśna wynosiła osiem i pół rubla dziennie ale jej wyrobić nie mogli. Gdyby wyrobili nawet, toby też na wiele się nie przydało, bo i tak książeczka robotnicza dawała prawo na kupienie maksimum półtora kilograma chleba dziennie na osobę za cenę 1 rubel 35 kopiejek. Matka i Jurek otrzymywali tylko 300 gramów. Dla czytelnika krajów normalnych, gdzie chleb jest dodatkowem pożywieniem — trudno będzie zrozumieć, co to znaczy. Bo poza chlebem nie można było niczego kupić w sklepiku robotniczem. Tylko w socjalistyczne święto perwszego maja i w rocznicę rewolucji sprzedawano trochę kaszy na osobę.

Ale i to wszystko było teoretyczne. Trust drzewny do którego ich przyłączono, był zbankrutowany, zadłużony u państwa i wobec tego nie otrzymywał żadnych kredytów, bo wszystko co dostarczał, szło na pokrycie zadłużenia i spartolonej tamy. Trust więc nie miał pieniędzy na wypłatę robotnikom ani pozwolenia na ich zwolnienie.

Po upałach nastąpiły krótkie roztopy i nie obejrzyli się, jak przyszła sroga zima uralska.

Hanka ścina toporem ogromne wiekowe drzewa. Pracuje nieraz literalnie po ramiona w sypkich, głębokich śniegach. Wieczorami przy rozpalonem ognisku paruje przez pół godziny. Gorączkuje. Ale regulamin zwalnia od roboty tylko o ile temperatura nie jest niższa niż 38 stopni. Pewnego razu silnie gorączkowała, poszła do doktorki ale okazało się, że ma tylko 37.8 stopni i lekarka uznała zgłoszenie za nieuzasadnione ale wydała kartkę zaświadczającą, że robotnica była u niej.

Rozwcieczony brygadjer skonfiskował kartkę i chciał zapisać t. zw. „progół", to znaczy uchylenie się od roboty bez usprawiedliwienia. Tego rodzaju. zapis za pierwszym razem oznacza obniżenie przez pół roku zarobków o 25 procent a przy powtórzeniu się — więzienie.

Głód i tak nękał straszliwie. Zwłaszcza ten Jurek, który przecie rośnie. . .

Właśnie ma paść olbrzym uralski.

— Storoniś (Umknij!) — krzyczy brygadjer.

— Wszystko mi jedno—mówi rozgoryczona dziewczyna.

Blady — w ostatniej chwili zwrócił jej wyłudzone świadectwo.

Przy ścinaniu pracuje z Tatarem i Tatarką. Tatarce nie dawali ubrania ze składów od lat. Marzła nieludzko. A mrozy były takie, że rąbane drzewo nagle się rozpękało i waliło się w nieprzewidzianą stronę. Był wprawdzie przepis, że przy mrozach ponad 45 stopni drzew się nie rąbie ale go nie przestrzegano.

Tatarka była głucha, zupełnie zdrętwiała z mrozu. No i drzewo ją przytłukło. Wtłoczyli ją do skrzyni, mającej służyć za trumnę. Skrzynia była za krótka, więc trzeba było zgniatać ciało. Siedmioletnie dziecko Tatarki chore na świerzb, skamlało, pętając się między ludźmi. Wszyscy wiedzieli, że musi teraz umrzeć.

Magazynier Dudaków, który utył na okradaniu magzynu (tak i tak skończy się na więzieniu za te czy owe niedokładności), ciągnie Tatarczątko za ucho i dowcipkuje: „Ech ty—trupeczek". Dziecko patrzy skośnemi oczkami i zdaje się rozumieć. Żona Dudakowa wybucha śmiechem. Ma pasję przychodzić do Hanki i przeglądać grubemi palcami jej fotografje. Oto aleja w Rabce, tego lata kiedy wybuchła wojna. Ona stoi z ojcem w jasnej sukience, ojciec w białych spodniach. Oto ich willa w Katowicach. Pani Dudakowa przegląda te fotografje jak my ilustracje do bajek Andersena.

Po kilku miesiącach oboje Dudakowie zostali aresztowani. Dudaków był na to przygotowany psychicznie.

— Ludność Rosji — wykładał — składa się z tych, którzy siedzieli w więzieniu, z tych, którzy siedzą i tych, którzy będą siedzieć.

Idzie dzień za dniem. Hanka wciąga na nogi łapcie plecione z kory brzozowej, okręciwszy tęgo nogi szmatami. Wstaje się przed świtem przy kopciuchu wetkniętym w słoik. Pociemku kopnemi drogami brną na robotę trupy za żywa pogrzebane, dla których niema nadziei.

Zaczęto gasić światła. Musieliśmy kończyć rozmowę.

— Mieszkam obok. Dam panu pamiętnik Oli — powiedziała Hanka.

Z zeszytem z szarego ziemistego papieru, na którego okładce były wyrysowane jakieś emblematy sowieckie, jak zwykle napuszone, przyszedłem do swego hoteliku i zapadłem w czytanie dzienniczka Oli — dzienniczka z tamtego świata.

Podaję z niego wyjątki:

30. V. „Jesteśmy dziś poruszeni. Jurkowi ofiarowano posadę pastucha. Będzie zarabiał więcej niż każde z nas, a kto wie czy nie więcej, niż my wszyscy razem. Dostanie 150 rb. miesięcznie i 15 litrów mleka (co przedstawia wartość 45 rubli). Podobno będzie również otrzymywał różne prezenty w postaci jaj, masła czy śmietany od poszczególnych chaziajów. Jurek jest wniebowzięty. Poprostu stoi na głowie! Obiecuje sobie, że zawsze będzie najedzony."

30.VI.41. „Jurek nie otrzymał jednak wymarzonej posady pastucha. Dziecko jak może nam pomaga — nosi drzewo zamożniejszej rodzinie żydowskich wygnańców, rąbie, nosi wodę".

Już mija rok ich pobytu tutaj. 12 czerwca minęła rocznica ślubu Oli.

„Rok gorszy niż rok najcięższego więzienia (chleb-woda, woda-chleb i tak wkółko) zmógł nas. Praca stała się piekłem, mimo, że wydajność nasza spadła do jednej piątej. Głód jest czemś strasznem! Jakże okropne budzi uczucia, jakże wstrętne myśli! Jeżeli mi Bóg pozwoli wrócić do świata — będę szukać ludzi głodnych.

12.VI. była rocznica naszego ślubu. Tyle miałam na nią planów! Ale przeżywaliśmy tak straszliwe głodowanie, takie wyczerpanie, że trudno opowiedzieć.

Myślałam rano po przebudzeniu, że jednak bardzo się zmieniłam. Nie czułam żalu, że dzień, jak mi się zdawało tak bardzo uroczysty, nie będzie niczem uświetniony, że nie będę miała po nim żadnych wspomnień. Tymczasem mama, moja niezawodna mama, wyczarowała nam do lasu po dwa kawałki chleba i manierkę kawy z mlekiem. Wieczorem odebrałam całą masę życzeń. Jurek

nie umiał sobie nic wyobrazić, co się życzy; życzył tylko, żebyśmy już nigdy więcej nie byli głodni."

2.VII.31. Ola cierpi bardzo na newralgję i ma zapalenie nerwu trójdzielczego. Lekarka jej nie zwolniła tylko dała trzy proszki weronalu . . . dla zażycia na miejscu pracy, w puszczy, jeśli już nie będzie mogła pokonać bólu.

„Przez cały dzień przeleżałam w lesie nawpół przytomna po dwóch proszkach weronalu (nie miałam zresztą pojęcia, że to weronal), częściowo śpiąc, częściowo płacząc, a stale jęcząc. Deszcz lał jak z cebra. Heniuś pocieszał mnie, że już idziemy do domu ale czyż ta perspektywa przebycia pięciu kilometrów po dzikich bezdrożach z tysiącem przeszkód w postaci drzew poprzewracanych, pni, błot i rzeczułek — mogła mi dodać otuchy?"

„Dawniej nie myślałam nigdy, żeby można było godzinami wyobrażać sobie i marzyć o szafie z białą wyprasowaną (podkreślone w tekscie p. m.) pachnącą bielizną, o zapasach mydła, o garnuszkach, rondelkach, rynkach, o serwetkach, obrusach!"

Odtąd już przez cały ciąg pamiętniczka opowieść jest przeplatana . . . przepisami kulinarnemi, których zbieranie po wygnańcach stało się istną manją głodującej.

6.VII.41. „Noc dzisiejsza była wprost upiorna. Pluskwy gryzły strasznie; pewno się znów wyroiły. Komary zaś tak cięły, zrobiły taki koncert brzęczący, że do świtu nie mogliśmy zmrużyć oka".

7.VII.41. Mały mężczyzna stara się brać na siebie część brzemienia. „Zawchoz" (kierownik) dał tyle toporów Oli i jej mężowi do ostrzenia, że nie mogli pójść na kolację.

„Topory nowe są takie okropne, że będziemy je wieki całe ostrzyli. Byliśmy też mocno zważeni, dopiero Jurka kolacja wróciła nam humor. Była pyszna: szpinak z pokrzyw i kasza. Dawno się tak nie najadłam."

11.VIII.41. Pamiętnik pod tą datą jest wypełniony marzeniami o tem, że podobno trust wypłaci część zaległych poborów, że da jakieś szanse.

14.VIII.41. Marzenia na wypłacenie zaliczki rozwiały się. Natomiast:

„Dziś wprowadzony został dwunastogodzinny dzień pracy. Hanka musi wstawać o 5-ej, żeby o 6-ej wyruszyć na 60-ty kwartak, wracać zaś będzie o ósmej. Nas z chwilą wyzdrowienia p. Wnęka czeka to samo. Tymczasem w obecnej sytuacji, której nam wszyscy zazdroszczą noc nasza będzie się składała w najlepszym wypadku tylko z 4-ch godzin. Ostrzyć topory będzie można najwyżej do dwunastej w nocy, zatem wykańczać bieżącą robotę będziemy musieli od 4-ej rano.

A teraz zagadka — co to jest? „Nie je, nie pije a chodzi i żyje?" Zagadka stara jak świat i żadne dziecko nie miało wątpliwości, że istnieje jedna tylko odpowiedź. Ale istnieje druga odpowiedź na Uralu jedyna (ładniebym się musiała namęczyć, żebym chciała wytłumaczyć np. Rebece Goldberżance, gdy podrośnie, co to jest zegarek!). Tutejsze dzieci na tę zagadkę odpowiadają jednogłośnie: „Uralczyk!"

Obecnie mamy już przed sobą konkretną wizję śmierci głodowej. Nie mogę określić, jak długo będziemy jeszcze chodzili i żyli."

15.VII.41. Przykuci do pracy za którą im nie płacono na skutek zadłużenia trustu u władz centralnych, wygnańcy oczekują t. zw. „wychodniego dnia" czyli dnia wolnego od roboty, aby szukać żywności.

„Wczoraj, ponieważ był wychodnoj, Hanka poszła szukać grzybów, Antosia na pokrzywę a my z Heniem przez cały dzień łowiliśmy ryby na wędkę. Z tego wszystkiego prawdziwą pociechę mieliśmy tylko z grzybów. Rybki były pyszne ale żałośnie mało a szpinak czyli pokrzywa, nagotowana w słonej wodzie bez mąki i masła, była wstrętną. Jedliśmy ją ze szczerego głodu.

Jesteśmy jak te rybki, które łowiłam. Żyjemy jeszcze, mamy nadzieje, że nam ta odrobina wody wystarczy. A koniec?"

16.VII.41. „Stoimy znowu przed perspektywą pójścia do lasu (jakiś czas Ola z mężem miała sobie przydzieloną pracę ostrzenia toporów —). Strach mnie opanowuje! Być wydanym przez 14 godzin na pastwę komarów,

much, muszek, bąków, kleszczy i wszelakiego rodzaju robactwa, odbywać codzienny 10-cio kilometrowy marsz po wertepach i przymierać głodem! Nie mam już sił, naprawdę nie mam sił!

Boże, zlituj się nad nami!
Jezu, usłysz nas!
Jezu, wysłuchaj nas!
Bądź nam miłościw,
przepuść nam, Jezu!
Bądź nam miłościw,
wysłuchaj nas, Jezu!
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata,
zmiłuj się nad nami . . ."

Zamęczona dusza ludzka w ciągu długich godzin kręcenia kamienia, stara się uciekać w świat marzeń, które po powrocie z roboty zapisuje w pamiętniku. Pamiętnika trzyma się wytrwale — nie chce umierać, chce myśleć, chce sycić się chociaż marzeniem. Te jej marzenia robią czasem wrażenie półmaligny. Rozpisuje się, jakie będzie miała suknie, serwety do kawy, jak będzie robić bardzo ciepłe rękawice dla pracujących na mrozie, jak siedząc w wygodnych fotelach będą robić z mężem zabawki na choinkę dla ich dziecka. Te marzenia są podane z najdrobniejszymi detalami. Kończą się jednak zawsze tak, że wdziera się nagle świadomość:

„Źle jednak, jeżeli w czasie takich marzeń spojrzę na Henia, mojego drogiego wychudłego biedaka, z podkrążonemi oczami i zatroskanem spojrzeniem. Wiem, że jest głodny, stale głodny i wiem też, że równocześnie w domu wymizerowana do ostateczności mama zachodzi w głowę skądby nam wydostać kawałek chleba. Wtedy lodowata obręcz ściska mi serce i . . . tracę wiarę."

18.VII.41. „Wczoraj popołudniu, kręcąc kamień w piłoprawce, zdałam sobie jasno sprawę z tego, że zbliża się nasz koniec. Jesteśmy wymęczeni bezgranicznie i nie do opisania głodni! Pracowaliśmy do 11-ej w nocy i do 11-ej płakałam z rozpaczy nad mamą, która leży chora i męczy

się nieludzko, wiedząc, że do jutra nie zdobędziemy już ani kopiejki na chleb i że Hanka pójdzie na cały dzień do lasu bez jedzenia a i dla nas niema lepszych widoków. Modliłam się żarliwie o jakiś cud a równocześnie w skołatanej głowie szukałam możliwości zdobycia chociażby jednego rubla. Henuś pracował z zaciśniętemi zębami. Kilka razy, gdy się spotkały nasze spojrzenia, mówił cicho ale z taką skargą bolesną, że nie zapomnę tego do końca życia: „Babuś, ja już nie mogę!!" Byłam taka udręczona, taka umęczona... Ponieważ nie mogłam się wypłakać dobrze ze względu na piłoprawów (p.m. — robotników-niewolników przy ostrzeniu toporów), przez cały czas okropny skurcz ściskał mię za gardło. Równocześnie chwilami zdawało mi się, że lada moment stracę przytomność: przedmioty troiły mi się przed oczami, zdawało mi się, że krew to odpływa mi od mózgu, to znowu gwałtownie uderza i to specjalnie do uszu.

I Bóg sprawił cud. Wieczorem Fiedienow wziął od Dubakowa 500 rb. i dawał awanse (p.m. — awanse na dawno zaległą wypłatę). Dostaliśmy na 7 osób 15 rb. Dzisiaj na śniadanie i obiad poszło 9 rb. Antosia zarobiła na grzybach 4 rb. Może p. Mocheńska sprzeda moją bluzkę rumuńską. Jutro jest „wychodnoj" — postaram się znaleźć siły i iść na ryby."

22.VII.41. „Od dwóch dni pracujemy znowu w lesie. Nie chcę pisać o brudnych metodach i brudnych ludziach. Zresztą to wszystko już jest bez znaczenia. Głód dochodzi do szczytu. Pisząc to, zdaję sobie sprawę, że niebawem głód ten będzie nam się wydawał ideałem, szczytem marzeń. Z dnia na dzień odwlekają wypłatę. Dzisiaj w nocy może dostaniemy jakieś awanse. Nowy naczelnik, zastępca Rożenki, powiedział nam dzisiaj, że wniesiono podanie o umorzenie długu, jaki ma trust — u państwa. W najbliższych dniach zatem albo trust zostanie rozwiązany, albo doczekamy się nareszcie wypłat. Tak on mówi.

Ludzie są w rozpaczy i w większej części zdeterminowani."

24.VII.41. „Wieczorem przyjechał kasjer i wypłacił 30 procent dwutygodniowego zarobku. Straciliśmy noc, ale za to mamy w kasie 50 rb. Właściwie nie tyle mamy, ile mieliśmy o godzinie 1-ej w nocy. Rano wykupiliśmy chleb oraz — w stołówce była kasza perłowa — każdy z nas jadł po jednej porcji. Do lasu dała nam mama również jedną porcję kaszy."

26.VII.41. „Partja uchwaliła, że robotnicy nie będą mogli kończyć pracy, dopóki nie wykonają normy. 11-to godzinny dzień pracy przysługuje zatem tylko stachanowcom. Wszyscy słabsi robotnicy obowiązani są pracować aż dopóki można, t. zn. do zapadnięcia możności.

Z dnia na dzień oczekuję objawów ostatecznego wyczerpania spowodowanego głodem. Henuś uporczywie twierdzi, że napewno w końcu ulegnie atakowi wścieklizny, ja natomiast przypuszczam, że niebawem będę popadała w uporczywe omdlenia. Przez cały dzień a nawet w nocy, gdy usiądę na pryczy, mam zawroty głowy, chwilami robi mi się czarno przed oczami, chwilami wszystko się troi i tańczy.

Nie mając gorączki, nie mam również prawa do lekarskiej opieki, nie mam również jedzenia jako lekarstwa, ani jedzenia jako jedzenie. Ponadto muszę rąbać las, prowadzić walkę z kornikami, korując wszystkie drzewa oraz wypełniać normę ustaloną dla silnego, zdrowego, dobrze odżywionego mężczyzny."

Ojcze nasz, któryś jest w niebie...
Przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja... na ziemi...
Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj
Odpuść nam nasze winy.
Zlituj się nad nami."

I zaraz bezpośrednio, zamglonem pismem bladego ołówka:

„Torcik czekoladowy

10 dkg. czekolady utrzeć z 10 dkg. masła i 10 dkg. cukru. Pianę z 6 białek utrzeć na śnieg, dodać 10 dkg. mąki, wymieszać z masą — piec. Polać glazurą czekoladową."

A potem szeregi innych przepisów: ogórki marynowane p. Nidenthalowej; tort p. Nieciengiewiczowej; nadziewanka do biszkoptów „Delikatna Pycha"; nalewka wiśniowa „Pani Marja" i t.d.

27.VII.41. „Niedziela... Boże, czy to słowo nie jest ironją! Wczoraj w lesie odrąbałam sobie czubek palca wraz z paznokciem. Ręce miałam brudne, niemożliwie oblepione żywicą, od korowania i nie miałam odwagi pójść do lekarki na opatrunek. Palec strasznie mi dokuczał, zwłaszcza, gdy rąbałam toporem. Gdy zapadły ciemności i skończyliśmy pracę, poszłam do wraczki (p.m. „lekarki") ale okazało się, że nie ma żadnych środków opatrunkowych."

Dalej powiada, że wczoraj były imieniny Hanki i jak matce udało się dostać dla niej jedno jajko i kubek zsiadłego mleka i jak była szczęśliwa, że mogła uczcić imieniny najmłodszej córki.

Ową niedzielę wykorzystali jak tylko mogli. Od świtu matka, Ola i Hanka aż do mroku były na grzybach i nazbierały za trzy i pół ruble. Mąż Oli nałapał rybek za rubla.

„Mamy znowu na jutro krwawo zarobione trzy kawałeczki suchego chleba na osobę. Piszę krwawo, bo — trzeba było największego wysiłku woli, by nie skorzystać z dnia wolnego i nie odpoczywać od rana do nocy."

28.VII.41. Pracowała z mecenasem Mintzem, który dał jej kawałek chleba. Pisze, jak trudno było brać ten chleb i jak nie była w stanie go odmówić. I nagle ten kawałek chleba, w zmaltretowanej duszy ludzkiej, która już tylko się modli, marzy o jedzeniu i tępo pracuje, wywołuje zryw gorących słów wdzięczności:

„Nie zapomnę tego nigdy, tak jak nie zapomnę Peli Błaszczykównej tego, że podzieliła się ze mną swoim chlebem, mimo że sama nie miała go wiele i mimo, że wtedy był biały, jak również p. Grzybkowej, która dała nam obojgu z Heniem szarego chleba, jak również Gizi Kalbowej, która dała mi kawałek chleba, mimo, że miała wogóle tylko dwa".

Wyrabia się popęd do szukania wróżb, któreby podtrzymały na duchu:

„Och, tuż przy mnie na dależniku usiadł ptaszek. (Ola zabiera od pewnego czasu swój pamiętnik ze sobą na robotę; zdania często są nierówne, dopisywane ad hoc p.m.). Tak ich teraz mało, że chyba ten będzie zwiastunem dobrych wieści. Może będzie zapowiedziana na dziś wypłata...”

29.VII.41. „Byliśmy znowu wczoraj z ultimatum u komendanta i majstra. Popłakałam się całkiem nieoczekiwanie przed Fedieniowem, gdy mu tłumaczyłam. jak to mama padła w lesie, wybrawszy się dla nas na grzyby i jak Jurek zachorował ciężko, przeziębiwszy się przy łowieniu ryb. (Przypominam, że na rodzinę złożoną z 6 osób, licząc służącą Antosię, dwie z powodu wieku t. zn. matka i Jurek byli „żywieńcami” t. zn. takimi, których wyżywić powinni byli inni pracujący członkowie rodziny. „Żywieńcy”, którzy powinniby byli być obciążeniem, w tych warunkach byli błogosławieństwem, bo nie przytwierdzeni do roboty za którą trust niemal nie płacił, mogli zbierać grzyby, jagody i łowić ryby. Płacz Ali poza uczuciami rodzinnemi jest zrozumiały, jeśli wziąć pod uwagę, że ci jedyni nędzni żywiciele — rozchorowali się.)

Szykował się otwarty bunt. Niech będzie co chce — mieli rzucić robotę i iść do puszczy w poszukiwaniu żywności. Ale serca ich drżały z trwogi, bo taki akt samowoli, to przybycie oddziału karnego, to rozparcelowanie w pojedynkę po różnych więzieniach Rosji.

„Tymczasem Bóg nas nie opuścił i tym razem: Fedienko dał nieco awansów. Otrzymałyśmy z Hanką po 5 rubli i to, zdaje się dzięki moim łzom. Nie potrafię opisać piekła, jakie się przechodzi przy zdobywaniu tych kilku groszy!

31.VII. 43. Zapis tego dnia jest poprzedzony mottem z „Dziadów”:

„Tyran wstał—Herod!—Panie, cała Polska młoda
Wydana w ręceHeroda!
Co widzę? Długie białe dróg krzyżowych biegi.

Wszystkie na północ!... Tam, w kraj daleki
Płyną jak rzeki...
Płyną... Ta droga prosto do żelaznej bramy,
Tamta, jak strumień, wpadła pod skałę, te jamy
A tamtej ujście w morzu... Patrz, po drogach leci
Tłum wozów—jako chmury wichrami pędzone
Wszystkie tam... W jedną stronę...
Ach, Panie — to nasze dzieci!
Tam, na północ, Panie, Panie!
Takiż to ich los—wygnanie!"

W Polsce nabrały ponownego życia dawne naiwne śpiewy z okresu martyrologji narodowej, dawna symbolika cierpiących pokoleń, dawne marzenia. W notatkach pod dniem w którym swoje zapiski poczęła mottem ze starego dogmatu, opisującego cierpienia wywiezionych przed wiekiem na wygnanie dzieci polskich, Oleczka daje upust marzeniom, jak będzie przyjmować towarzyszy wygnania jeśli wróci do Polski:

„Mam zamiar upiec miodownik według przepisu p. Perły w wysokim rondlu, następnie polukrować boki na biało a gdy lukier zastygnie, wymalować na nim niesymetrycznie mnóstwo kreseczek, co będzie improwizowało korę bronzową. Wierzch polukruję lukrem kremowym (dodam odrobinkę szafranu), co będzie wyobrażało naturalną barwę drzewa w przekroju. Dalej mam zamiar podać ciastka w postaci ciurek (wiórów? — p.m.), piernik upieczony w formie chleba uralskiego; ciastka kruche wycinane foremką w kształcie topora, przyczem barwę stali będzie imitowała czekolada a toporzysko będzie ciesielskie oraz wycinane foremką w kształcie piły — ciastka. Na jednym z tortów jako dekorację ustawię sąg drzewa z pałeczek marcepanowych — och, na ten temat mogłabym pisać godzinami..."

Stara polska piosenka z katorg sybirskich zawiera marzenia o tem, co więzień robi z rudy, którą mu każą kopać, z konopi, które każą plantować. Wszystko posłuży — zemście. Ale pamiętnik Oli jest pisany ostrożnie. Jest tylko rejestracją faktów, nigdzie nie ma słowa potępienia. Bo nad wszystkimi nimi ciąży wszechobecna wszystkowiedząca N. K. W. D.

4.VII.41. Ustęp wpisany ręką męża:

„Żono Moja Najdroższa! Gdyby nie Ty i nasza miłość, jużbym nie był na tym świecie mąk. Już wiele razy zamierzałem skrócić swoje męczarnie, już wiele razy byłem prawie samobójcą. Zawsze jednak powstrzymała mię myśl, że muszę żyć dla nas, że mam najbardziej kochającą żonę."

5.VIII.41 r. „Tak wszystko wygląda, jakby Bóg nas zupełnie opuścił... Nie wolno dociekać woli Boskiej, bo tem samem daje się dowód niewiary i braku ufności we Wszechmoc i Najwyższe Miłosierdzie. A ja wierzę, wierzę! Tylko o jedno błagam Cię Panie, skróć czas męki! My jesteśmy tylko ludźmi, nie mamy sił cierpieć tak, jak Ty, Panie!... Upadamy pod krzyżem, który nam przeznaczyłeś, męczymy się tak okrutnie..."

6.VIII.41 r. Nagle — w tym pamiętniku cierpienia — jako motto zapisu na dzień 6-go sierpnia — tryska hymn narodowy. Skostniałe palce, z których jeden jest ścięty toporem, piszą nie o racjach chleba, nie o zarobkach a o tem — że „Jeszcze Polska nie zginęła!", piszą te same słowa, które prowadziły Legjonistów polskich w rewolucyjnej armji Napoleona „z ziemi włoskiej do polskiej".

Do tajgi Uralskiej przyszła wieść, że 1-go sierpnia w Moskwie została podpisana umowa między rządem polskim i sowieckim. Przyjechał jakiś naczelnik Zotow. Ola nie mogła pójść na zbiórkę z nim, bo ją wezwano do buchalterji. Naczelnik robót zadecydował obniżenie jej zarobków o połowę z tego powodu, że to jest niemożliwe, by w ciągu doby mogła wytoczyć tyle toporów. A przecie ona tylko kręciła kamień, wyrobienie więc normy nie mogło od niej zależeć. Ta „kolosalna" kwota, której według naczelnika nie mogła w ciągu miesiąca zarobić, to była suma 68 rubli. „Zważywszy, że spodeczek grysiku kosztuje 70 kopiejek a zarobić mogę najwyżej 31 rb. 50 kop. za dwa tygodnie, przeto mogę kożdego dnia spożywać trzy spodeczki grysiku. Taka porcja nie wystarczyłaby niemowlęciu a przecie ja mam jeszcze „żywieńców", których teoretycznie muszę utrzymywać."

Czekała w kolejce do buchaltera do drugiej w nocy, aby dowiedzieć się o nowej jeszcze klęsce: buchalter wciągnął pod rubrykę lipcową awanse, które pobrała w czerwcu i dowodził, że wobec tego nie będzie uczestniczyła w wypłatach.

Opowiedziano więc jej tylko o zebraniu z Zotowem. Na tem zebraniu nędzarze zagłodzeni i bliscy śmierci oświadczyli, że „nie spodziewamy się, ani życzymy sobie, by rosyjska armja uwalniała naszą ojczyznę."

Nie życzą sobie...

8.VIII.41. Wiadomości o jakiejś akcji polskiej poczynają przychodzić do tajgi. Podobno aeroplanem przyleciała z Londynu misja wojskowa polska. Podobno tworzy się armja polska z pośród uwięzionych w Rosji.

„Taka jestem szczęśliwa! Henuś pójdzie do wojska, ja do służby sanitarnej. W każdym żołnierzu będę widziała swojego męża i tak go będę pielęgnowała„ taka będę nieskończenie cierpliwa i dobra... I każdy ranny będzie mi przypominał Jurka naszego dzielnego (poległy w kampanji wrześniowej mąż starszej siostry Krystyny p.m.) i stracone szczęście Krysi i osieroconą Ewunię."

10.VIII.41. „Hanka zachorowała. Ma silny ból głowy i gorączkę 39,3. Mnóstwo ludzi choruje."

14.VIII.41. „Jędrek Wnęk miał taki straszny atak! Boże, jacy my bezsilni i bezradni... Sine sztywne dziecko leżało przed nami, matka odchodząca od zmysłów błagała o ratunek, a my nie wiedzieliśmy nawet co mu jest."

Ponieważ Jędruś choruje już od 10 dni, jest więc bardzo wycieńczony. Przez trzy ostatnie dni prawie nic nie jedli, bo pieniędzy również już nie mają. Dzisiaj Jadzia przyniosła maliny z lasu i Jędrek dosyć się ich najadł. Zwracał to wszystko w chwilę potem.

Brzezina umiera bez pomocy lekarskiej na zapalenie opon mózgowych.

15.VIII.41. Jest to dzień „wychodnoj" (wolny od pracy), który nagle kazano przepracować. Zbuntowali się, ofiarowując wzamian, jako obywatele „sprzymierzonego państwa" — cały jednodniowy zarobek, co naturalnie władzom do smaku przypaść nie mogło, skoro zarobków i tak nie wypłacały. Było wiele trwogi o następstwa ale musieli

przecie żyć, a zyli przeważnie z tych wolnych dni i pracy „żywieńców". Aby zagłuszyć obawy, tem ostrzej rzucili się do zdobywania żywności. „Henuś z Jurkiem przynieśli tyle grzybów, że sprzedali za 10 rb., trochę podarowali w charakterze rewanżu a z reszty ugotowała mama duży garnek do kaszy. Jesteśmy najedzeni do syta, mamy szklankę masła topionego w zapasie, trochę rubli. Ukoronowaniem dnia były Antosi maliny. Przyniosła duży dzbanek od wody. Objedliśmy się niemożliwie.

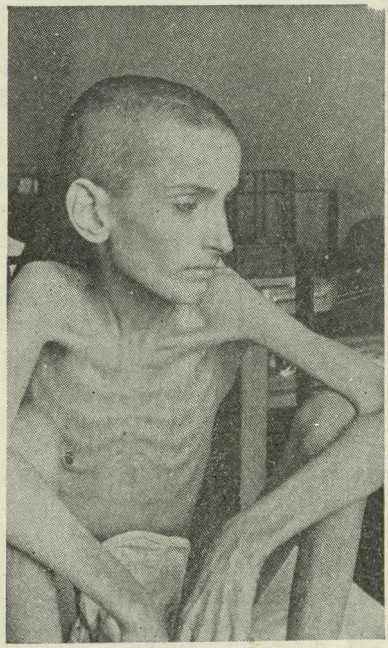

Po wydostaniu się z Rosji

Trwoga też skończyła się nieoczekiwanie. Nikitin zakomunikował starszym baraków, że Polacy przestają podlegać władzy N. K. W. D. I niezwłocznie wypuszczono tych, których już zdążono zaaresztować za nie wyjście na robotę.

22.VIII.41. „Jesteśmy u kresu sił i u szczytu wyczerpania nerwowego. Raz mamy na chleb, potem nie mamy na obiad, buntujemy się, dostajemy jakieś zaliczki.

...wolniutko wracaliśmy z kantoru: kasjer nie przyjedzie ani dziś, ani jutro."

25.VIII.41. Ponieważ wydano zarządzenie, że Polacy mogą wyjeżdżać. więc wśród wygnańców panuje wzburzenie. Polacy chcą za wszelką cenę dostać się do armji.

27.VIII.41. „Przyjechał komisarz Nikitin z instrukcjami. Otrzymamy dokumenty, stwierdzające naszą przynależność państwową, będziemy mogli wyjechać, dokąd zechcemy, z wyjątkiem miast pierwszej i drugiej kategorji oraz pasa granicznego, dostaniemy wypłatę, urlopowe, bezpłatny przejazd do miejsca wybranego i djety. Te dwa ostatnie punkty nie wiem dlaczego po chwili odwołał.

29.VIII.41. „Wyłoniliśmy z pośród siebie komitet, który uzyskał od Zotowa zwłokę do godziny 8-ej wieczorem oraz pozwolenie na skomunikowanie się z poselstwem polskiem w Moskwie drogą depesz iskrowych.

Jest obecnie godzina 17-ta i pół. Odpowiedzi dotychczas niema.

Godzina dziewiąta. Jedziemy do Kujbyszewa. Podobno są tam fabryki, można zarobić. Zotow już nam wystawił dokumenty. Jesteśmy przecie bezsilni, nie wiemy nic, nie znamy możliwości, jedziemy w nieznane.

Kto się w opiekę podda Panu Swemu
A całem sercem szczerze ufa Jemu,
Śmiele rzec może: mam obrońcę Boga
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga."

2.IX.41. Władze rosyjskie dały im znać, że obywatele, pragnący wstąpić do tworzącej się armji polskiej, winni złożyć deklaracje.

„Jesteśmy tacy szczęśliwi! Zorganizowaliśmy w jednym z baraków biuro werbunkowe. Za mamy inicjatywą poszyłyśmy biało-czerwone kokardki. Niebawem wszyscy ochotnicy mieli je przypięte.

Żal mi niezmiernie mamy. Umówiłyśmy się z Hanką,

że ona zostanie przy mamie. Tymczasem Hanka chce też iść do pomocniczej służby kobiecej. Ojciec też złożył deklarację, mimo, że ma 58 lat. Ale ja przecie muszę z Henkiem... Nie będzie chyba granic mego poświęcenia. Tylko — taka jestem słaba. A przytem.. mam pewne obawy, że jestem w ciąży. Nie wiem wobec tego, jaka by była moja powinność. Ciężko, strasznie ciężko...

Bądź wola Twoja."

3.IX.41 — 7.IX — 9.IX — 11.IX — 12.IX.41. Notatki pod temi dniami omawiają dwa różne tematy

Okazało się że do Kujbyszewa wjazd zamknięty. Wygnańcy wobec tego są zupełnie zdezorjentowani. — Trwają ciągłe obrady — rozbili się na grupy. Każda grupa obrała inną miejscowość wyjazdu. Tymczasem wszystkie są trzymane na miejscu przez to, że rząd nie finansuje przejazdu, że koszta przejazdu mogliby zapłacić tylko po otrzymaniu zaległych należności za pracę. To im obiecują, ale wypłacają drobnymi awansami, które rozejdą się na jedzenie. Chodzi więc o to, aby te zaliczki nie były rozpraszane a w całości szły na pokrycie należności poszczególnych grup, które w kolejności mogłyby wyjeżdżać. Na tem tle w głuchej tajdze odciętej od świata i nadziei, rozgrywają się spory podyktowane obawą, że ci, co zostaną w dalszej kolejności — mogą pozostać na zawsze.

Drugi temat jest pomyślniejszy, co wygląda na paradoks: ludzie utracili zarobkowanie w truście sowieckim, a ściślej powiedziawszy — przestali być adscripti do niewolniczej i niemal nieopłacanej roboty. Zamiast więc jednego dnia „bezrobocia", mają ich siedem w tygodniu i los ich znakomicie się poprawia. Mąż Ol wypuszcza się w dalekie wyprawy po żywność. Upatrzył wieś o 22 kilometrów po ciężkiej drodze górami i podejmuje się mniej przedsiębiorczym czy słabszym, a więcej zasobnym wygnańcom nosić dla spieniężenia ubrania, zegarki itp. przedmioty codziennego użytku; ściślej powiedziawszy — codziennego użytku w zgniłej Europie; w powrotnej drodze nosi im żywność.

„Henuś bardzo się o mnie teraz troszczy. Mam u siebie oddzielny słoik miodu, jadam jaja. Przynosi mi również ze wsi pierogi rosyjskie, małe chlebki. Śmieję się z niego, że dba o syna. Takbym już chciała wiedzieć, czy naprawdę będę miała dziecko, czy to tylko taka słabość okropna. Mam stale nudności.

Mówiłam zawsze Heniowi, że Bóg da nam dziecko dopiero wtedy, gdy już będzie dobrze na świecie, gdy już będę w takich warunkach, że nie będzie mnie to napawało rozpaczą i lękiem. Gdybym teraz zdobyła pewność, że istotnie jestem w ciąży, wiedziałabym niezbicie, że chwila wyzwolenia jest bliska.

„Wiele rzeczy mnie ominęło: suknia ślubna, własne mieszkanko i gwiazdka u siebie. Czyżby i przygotowywanie wyprawki dla dziecka i to dla pierwszego dziecka również nie miało być moim udziałem? Ale przecie rozumiem, że Bóg jeśli zsyła małe przykrości, to po to, aby zaoszczędzić na wielkich".

Tymczasem Bóg poczyna zsyłać i małe radości. Mąż dzięki swoim wyprawom jest w stanie być ich sprawcą:

„Rano przed wyruszeniem w tajemnicy kupił mi w magazynie karafkę, rondelek malowany zieloną farbą, pieprzniczkę i paczkę pieprzu. Ogromnie się ze wszystkiego cieszę, bo to zalążek naszego gospodartswa. Mamy sporo zapasów: dwa słoiczki miodu, puszkę mąki, paczkę pieprzu".

15, 17, 19, 20, 24, 25 wrzesień, 1941 roku.

Notatki z tych dni zawierają opis wyruszenia do stacji kolejowej i pobytu na niej. Po wyjechaniu innych grup przyszła kolejka na grupę jadącą do Pierwouralska, do której zdecydowała się przyłączyć rodzina Korzeniowskich. Wiele kłopotów z zakupem skrzyni na rzeczy. Ostatniej nocy pluskwy tak strasznie gryzą, że wszyscy są śmiertelnie niewyspani. Dawniej z roboty w lesie walili się nieprzytomni na prycze i nie spali tylko w noce, kiedy następował nowy wyrój pluskiew. Obecnie nie są widać tak zmęczeni i absolutnie nie mogą sypiać. Ola więc ratuje się pisaniem pamiętnika przy świetle knota, bo ma nadzieję, że światło powstrzyma pluskwy.

Pozatem ciągła konieczność znajdowania się na miejscu, bo w każdej chwili każą wyruszyć znowu — ogranicza możność poszukiwania żywności.

„Dzisiaj wyjątkowo jestem najedzona, bo cały niemal barak mnie dożywiał a wszystko a conto mego spodziewanego dzieciątka. Więc p. Ala Silbermanowa dała mi kawałek chleba z marynowanym śledziem (nie silę się wcale opisywać, co to była za pycha!) oraz kawałek chleba z miodem, p. Lederkramerowa — jak to w baraku — słysząc przez ścianę o moich dolegliwościach, przysłała mi zaraz wspaniały przysmak: kawałek chleba z rzepą, zaś pani Adlerowa dolała mleka do moich klusek na wodzie.

Wogóle ludzie byli dla nas tacy dobrzy dzisiaj, że trudno opowiedzieć. Kochana, najlepsza Zula Erbesfeldowa podarowała mi i Hance po parę pończoch a mnie ponadto jedwabną granatową bluzeczkę; Hanka już przedtem dostała podobną od Natki. Ponadto Zula przysięgła, że nie przyjmie od nas zwrotu pieniędzy, które od niej pożyczyliśmy — woli odebrać dług w Polsce. Ponieważ reszta naszych wierzycieli a więc p. Blanksteinowa, pp. Honigbaumowie i pp. Turnheimowie złożyli identyczne oświadczenia, skonstatowaliśmy ze zdumieniem, że została nam na ręku cała wypłata i znaleźliśmy się w posiadaniu sumy, o jakiej nie marzyliśmy — 500 rb. (na 7 osób, przyczem należy wziąć pod uwagę, że pieniądz w Rosji nic niemal nie znaczy, jeśli się nie ma uprawnień do nabywania produktów po normalnych cenach. Dalsza więc droga i dalsze losy rodziny Korzeniowskich zależały nie od tej „astronomicznej" cyfry, a od tego czy będą mieli te uprawnienia).

Droga na przystanek kolejowy była ciężka. Rzeczy wiozły fury, ludzie szli. Padał deszcz. Matka zaniemogła, wstąpili do wsi przydrożnej, tam matka wróżyła z kart, zbiegła się cała wieś. Cała rodzina niesłychanie się najadła, a nadto udało im się kupić dwa kilogramy soli i dwanaście paczek zapałek. Wreszcie dobrnęli do przystanku kolejowego:

„Spaliśmy dziś w klubie — myślałam, że umrę z zim-

na, nerki mnie rozbolały. Głodujemy okropnie. Stołówka bardzo droga. Jest jedna tania zupa za 54 kopiejki — pozatem dania po kilka rubli".

Na drugi dzień wynajęli izbę, w której mieściła się chłopka z trzema synami. Siedzieli na podłodze, ale było im przynajmniej ciepło. Niestety na trzeci dzień przyjechał gospodarz ze spławu drzewa i trzeba było się wynosić. Koniec września na Uralu — to nie żarty! Pozwolono im zamieszkać w pustej izbie gminnej. Zimno! „Tak mnie nerki bolą, że chwilami zwijam się poprostu".

Na następny dzień zapisuje: „Jestem taka chora, taka chora... W nocy miałam silną gorączkę, nerki bolą mnie nieustannie, męczą mnie ciągłe dreszcze. Co godzinę przynajmniej muszę chodzić na dwór, tak jak zresztą wszyscy. Wszyscy jesteśmy też poprzeziębiani w niemożliwy sposób.

Cała grupa postanowiła starać się o zmianę obranego miejsca zamieszkania. Dowiedzieliśmy się, że w Pierwouralsku jest tylko przemysł wojenny z 11-stogodzinnym dniem pracy. Podobno o wyżywienie tam bardzo trudno — kartofle 35 rb. pud (16 kilo — według więc tej miary „astronomiczny" kapitał sześcioosobowej rodziny Korzeniowskich równałby się tonie kartofli — produktu w Rosji stosunkowo najtańszego. Jak zobaczymy dalej, cena kartofli w istocie była wyższa — po 54 rb)."

27 października, 1941. Oczekiwanie na pociąg się przeciąga. Pod wpływem wieści o trudnościach aprowizacyjnych, wszyscy chcą jechać dalej, na południe. Nikt dobrze nie wie, czy na tem południu nie będzie jeszcze gorzej ale nędzarzy przeraża zbliżająca się zima. Mąż Oli wyrusza w szerokim promieniu, aby sprzedać futerko Jurka, bluzkę Antosi i wielki czarny szal, chce zdobyć pieniądze na bilet kolejowy na południe. Ten wielki czarny szal, który teściowa Oli, kiedy siedzieli zamknięci w wagonie na peronie lwowskim, kupiła w ostatniej chwili od zakonnicy — ten wielki szal ma poczesne miejsce w pamiętnikach. Wiem na pamięć, jak był wielki i gruby i ciepły i puszysty i jak się ogromnie podobał gospodyniom sowieckim, bo był czarny i że za taki szal powinnoby się

na stosunki sowieckie żądać 2500 rb.; oni już go gotowi byli oddać za 250 rb. ale nie mogli go zbyć. We wszystkich ważniejszych momentach życiowych od czasu zwolnienia z przymusowych robót, kiedy cokolwiek się dzieje — zbiórka informacyjna, przyjazd sowieckiego dygnitarza, wypłacanie awansów, nagły wyjazd na przystanek kolejowy — męża Oli niema. Pamiętnikarka z całem poczuciem ważności jego nieobecności komunikuje: „Henusia właśnie nie było, bo poszedł sprzedawać szal".

W bezczynnem tygodniowem oczekiwaniu na pociąg, uskarża się pamiętnikarka na konieczność ciągłego obcowania w zbitem i nieszczęsnem stadzie ludzkiem. I jak przedtem przez pamiętnik przewijały się przepisy kulinarne — tak nagle teraz — widzę starannie wypracowany plan własnej willi sześciopokojowej. Co najgorsza — nawet z takiemi wymysłami jak oszklony balkon, w którymby hodowały się rośliny. Jak — kominek!

Ma jednak rację władza sowiecka, że niezmiernie ciężko jest „pierekowat" (przekuć — termin powszechnie używany w załganej deklaracji o przerobieniu więźnia na nowe życie. Uwaga: sam zbytnio ulegam wrażeniu, czytając te pamiętniki do tego stopnia, że poczynam się posługiwać niewłaściwą terminologją; rodzina Korzeniewskich, to nie byli więźniowie, nie mieli żadnego wyroku ani nawet zsyłki administracyjnej tak powszechnej w Rosji. To byli — „wolnoosiedleńcy").

27 września, 1941. „Od wczoraj wieczorem stoimy na głowie. Zawiadomiono nas o 11-ej w nocy, że na rano będzie wagon jeden na 60 osób. Henka niema — poszedł sprzedawać szal. Ci co wrócili z Krasnoufimska, mówią, że zamierzał zostać na jutro, bo jutro jest „wychodnoj dień" w Krasnoufimsku i dopiero będzie prawdziwy targ.

„Dzisiaj odmówiono nam chleba".

28 września, 1941. „Jesteśmy zarośnięci brudem. Stoimy już 24 godziny na stacji — nie mamy pojęcia, kiedy nas przyczepią do jakiego pociągu. Ale przez to się Henuś znalazł. Szala nie sprzedał. Przywiózł okropne wiadomości. Wszyscy nieszczęśliwi „wolni" Polacy czekają tygo-

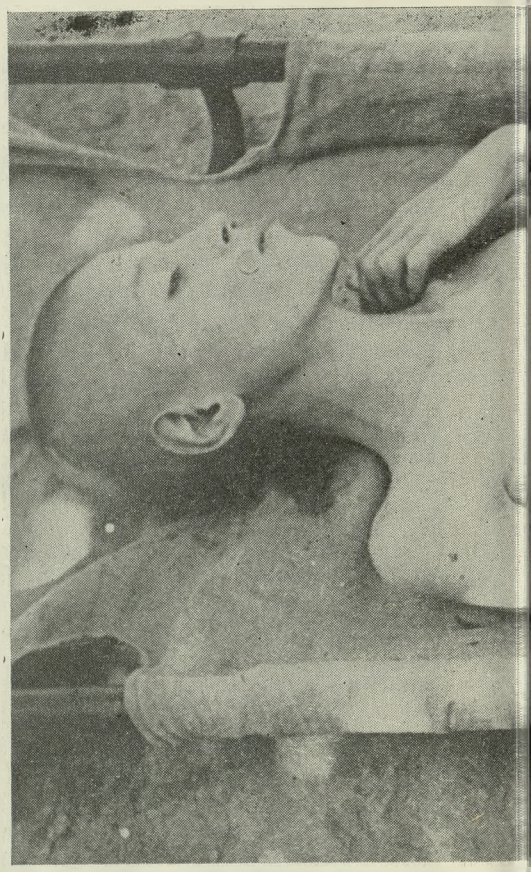

Zo

dniami po stacjach kolejowych. Keszenbergowie postanowili zrezygnować z podróży i zostać na miejscu".

1 października, 1941. Chrompik koło Pierwouralska. „Jechaliśmy owe 80 klm. — trzy doby. Odstawiano nas na skrzyżowaniach na całe godziny. Pozwolono nam kupić po 40 dkg. chleba na osobę.

W Pierwouralsku można zdobyć pracę w lesie. Ale pud

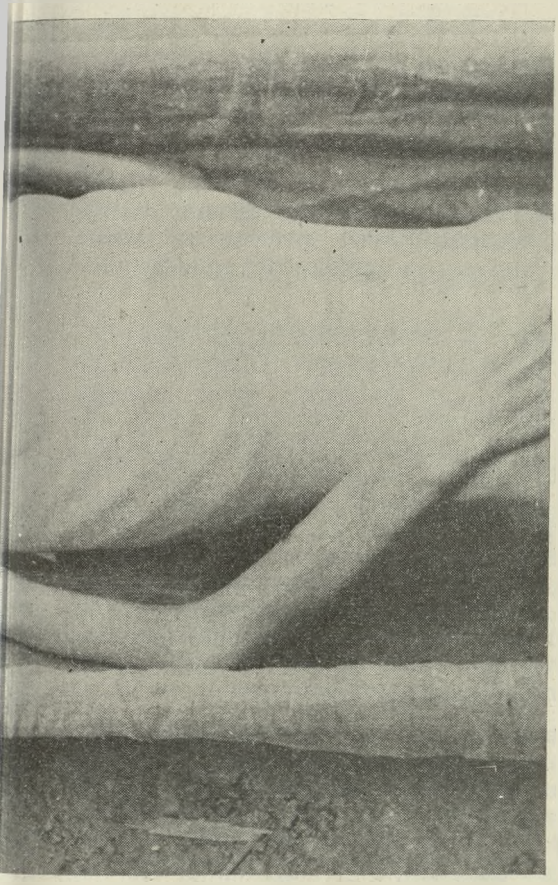

uwolniony

kartofli kosztuje 54 ruble. W całym Pierwouralsku obecnie można zdobyć tylko dwa artykuły, po które ustawiają się w kolosalne ogonki ludzie zaraz po przyjściu z pracy, aby na rano po otwarciu sklepu móc mieć nadzieję, co dostać. Jeden ogonek jest po mięso końskie, drugi — po miód. Konina po 10 rubli za kilogram, miód po 30 rb., ale miodu już podobno niema.

Mamuchna z Hanką poszły sprzedać szal. Najbardziej się boję, że znowu nie zdecydują się sprzedać tej ostatniej rzeczy za grosze i że nie będziemy mogli jechać dalej i zostaniemy tutaj".

3 października 1941 r. — Chronyńk. „Stoimy tu na stacji już trzy doby. Większość czasu spędzamy na naszej pryczy na trzeciem piętrze, bo gdzieindziej miejsca niema".

7 października 1941 r. — Swierdłowsk. „Już trzecią dobę stoimy na stacji w Swierdłowsku". Okazuje się, że szala nie sprzedano ale „na szczęście" Rada Miejska Chronyńka wystąpiła do władz z protestem, z zaświadczeniem na piśmie, że w Chronyńku miejsca niema. Wobec tego przepchnięto ich do Swierdłowska — przestrzeń 40 kilometrów, oddzielających Chronyń od Swierdłowska jechali 12 godzin. Pozwolono im wyjść na Swierdłowsk — dawny Ekaterynburg, bogate miasto carskiej Rosji. Było to wogóle pierwsze większe miasto rosyjskie, jakie widzieli. Na głównej ulicy rzuciły im się w oczy na wystawach sklepów zwoje kiełbasek, bochenki białego chleba, sery szwajcarskie... I żadnych ogonków? — Okazało się, że są to makiety z papier-mache.

Znów upadła nadzieja: przedstawiciel władz polskich, rezydujący w Swiardłowsku, został wydalony. O tym rządzie polskim, o tem wojsku — skąpe dochodzą wieści przez gazety rosyjskie. Wezwania do wstępowania do wojska... Ale jak?...

Tymczasem nowa katastrofa — brzemienna Ola nawiedziona została idjosynkrazją do kartofli. Są one jedynym produktem wyżywienia narówni z chlebem, który mają nie codzień. Po zjedzeniu kartofli niezwłocznie następują torsje. „Takbym nie chciała stracić mojej słodkiej nadziei"...

17 października, 1941 r. — Orenburg. Ponieważ i Swierdłowsk zaprotestował przeciw przyjmowaniu polskich wygnańców, więc znowu ich posłano dalej bez obowiązku kupowania biletów.

W Czelabińsku mieli czekać, aż zbierze się partja 800

osób. Tymczasem bez żadnej zapowiedzi pociąg ruszył, zostawiając na stacji 23 osoby, przeważnie młodzież, która poszła starać się o jedzenie. Rozpaczy matek nie było granic. Przyszedł na szczęście z pomocą nieporządek. Wagon z naszymi wygnańcami gdzieś odczepiono po drodze jako „mylnie skierowany". Pozostawieni przeważnie zdołali zaczepiać się do idących pociągów i dołączali.

Okazało się, że kierują wygnańców do Orenburga.

„Wlekliśmy się odtąd niemożliwie. Przystawaliśmy co 10, co 15 kilometrów i to na kilka godzin. W końcu, staliśmy dwie doby na niewielkiej stacyjce wśród bezkresnych stepów, bo zapomniano o naszym odczepionym wagonie. Odtąd już wyruszyliśmy z kopyta i tak dojechaliśmy do Orenburga bez możności zakupienia czegokolwiek — jak okręt-widmo (ta podróż „z kopyta" między Swierdłowskiem a Orenburgiem trwała 8 dni p. m.)".

18 października 1941 r. Orenburg ich nie przyjął, skierowano ich do Taszkentu. „Ostrzeżono jednak, że do chleba ani żadnej żywności w drodze nie mamy prawa. Ostatnia nadzieja na sprzedanie ciepłych rzeczy rozwiała się niespodziewanie. Mamy na siedem osób 50 rb. i po 40 gramów chleba w zapasie. Co to będzie?"

22 października 1941 r. „Wciąż jedziemy... Pierwsze dni jazdy były tragiczne. Nie jedliśmy przez pierwsze dwa dni niczego. Rozpacz zaglądała nam do serc. Pociąg przemykał jak błyskawica przez stepy a co gorsza — przez stacje. Od dwu dni zaczynamy łapać to kawał przesłonego sera owczego, to przedrogie mięso wielbłądzie, a najczęściej kawony.

Choruję okropnie na nerki. Wstrząsy wagonu są niewypowiedzianą męką. Czasami wyję z bólu".

24 października 1941. Taszkent ich nie przyjął. Skierowano ich do Brewska. Ale Brewsk ich nie przyjął... „Nikt nie wie, czy nie chce nam powiedzieć, gdzie jest miejsce naszego przeznaczenia. Dojechaliśmy obecnie do Samarkandy. Ale i tu zabroniono wysiadać... Pieniędzy nie mamy. Jesteśmy niesłychanie głodni. Mama sprzedała mój

śliczny sweter za 50 rb. Biedna okropnie się denerwowała — musieliśmy wszyscy zapewniać, że to cudowna tranzakcja".

To była ostatnia strona pamiętnika. Świt wsączył się do numeru hotelowego. Odsunąłem mustikierę — pamiętnik upadł na podłogę. Wypadła z niego — biało-amarantowa wstążeczka — pamiątka tego dnia nadziei, kiedy ochotnicy przypięli sobie takie wstążeczki. I fotografja niemowlęcia — tak, to Ewunia, córeczka pozostałej pod niemiecką okupacją siostry Krysi, której męża zabito. I jeszcze dwie kartki na szarym sowieckim papierze, blado pisane ołówkiem. Jedna — to „sprawka" od nadzorcy o przepracowanej robocie. Druga — to kartka od Hanki: „Kochana Olu! Przy okazji przysyłamy trochę jedzenia. Jutro będzie znów. Olu — lekarz mówił, żebyś dobrze się odżywiała, to też prosimy Cię, żebyś to, co dostaniesz, zjadała odrazu. My będziemy się starali zawsze coś dostać".

Data na kartce niewoli była zamazana. Daty na kartce miłości nie było. I już dalej nie było nic wiadomo o losach pamiętnikarki, która o tym swoim pamiętniku pod datą 29 sierpnia 1941 r. zapisała: „Myślę, że z tego pamiętniczka będę czerpała niejedno dobre natchnienie".

Wiedziałam już — że z tych marzeń nie spełniło się nic. Że zmarnowały się zbierane przepisy kuchenne. Że zielono malowany garczek i pieprzniczka, kupione na zadatek nowego życia, kiedy poczuła płód pod sercem — nie stały się zaczątkiem sześciopokojowego własnego słonecznego domku.

OPOWIADANIE HANKI

Nazajutrz byłem już od rana w świetlicy Czerwonego Krzyża. Uzyskałem zwolnienie Hanki. Kiedy jadłem pierwsze śniadanie, zwróciłem uwagę, że porcja masła jest niebywale duża, że Czerwony Krzyż źle kalkuluje, że przy tych cenach dając takie porcje będzie miał deficyt.

Dziewczyna kręciła się zakłopotana, aż wreszcie musiała wyznać, że idąc z miasta, kupiła dla mnie to masło.

Kompleks głodu, waga najprymitywniejszego zadania — nasycenia się — ciążył jeszcze nad nią. Ola w swych pamiętnikach marzyła, że kiedyś na swobodzie, będzie gościom dawała suchy chleb, odmrażany, rozmaczany i przysuszany na patyku; — głód jej kazał wierzyć, że jest to wybitny delikates. Żołnierze przyjeżdżający z Rosji, kupowali w piekarniach po kilka chlebów — na zapas, nie wierząc podświadomością silniejszą niż logika, że jutro w tem samem miejscu będzie znowu świeży chleb.

Hanka wie, że chodzi mi o szczegółową relację. Hanka otrzymała moje wielokrotne zapewnienia, że mnie historja życia ich rodziny wzrusza i boli, że nie jestem obojętnym słuchaczem. Hanka wie, że tu chodzi o dokument — o jeden z tych tysięcy krwawych dokumentów, mówiących o śmierci, o męczarniach setek tysięcy ludzi, dokumentów, które trzeba będzie rzucić w twarz temu naiwnemu światu, oklaskującemu na ekranach każde pojawienie się Stalina.

Hanka jest wierząca, Hanka jest gorącą patrjotką. Hanka jest całkiem z kultury zachodniej, a przecież w jej opowiadaniu nie spostrzegam tonu głębokiego oburzenia. Relacja jej jest ponura jak wschodni kismet, czasami poprostu się zdaje, że uważa rzecz za naturalną fakt, iż człowiek nie ma żadnych praw.

To jest w jej matowym toku opowiadania nastraszniejsze. Zwłaszcza dla Polaka, który czuje, jak z lądu Eurazji idzie obezwładniająca fala niewolnictwa.

A więc — zawieziono ich aż do Samarkandy, do kraju, który długi czas był na skraju ważenia się wpływów Anglji i Rosji — jak teraz Persja. Aż w 1842 r. za poduszczeniem Rosji emir Nasrullah uwięził i zamordował towarzyszów rozrywek, rosyjskiego posła — pułkownika C. Stoddarta i kapitana A. Connolyego. Potem już poszło łatwo i kraj ostatecznie zagarnięty został przez Rosję jako protektorat (nomenklatura totalistów, jak widzimy istniała już na długo przed wkroczeniem von Neuratha jako Protektora Czech) Chiwy i Buchary.

Kraj ten musiała po raz drugi Rosja podbijać w 1921 roku, zgniótłszy opór Envesa-Paszy. Obecnie — to, co carscy urzędnicy nazywali protektoratami, bolszewicy nazwali — Respublikami. Samarkanda jest stolicą Respubliki Uzbeckiej.

Pędzona przez światy rodzina Korzeniewskich wiedziała z tego wszystkiego, że na niebie miedzianem niema ani jednej chmurki a na spłowiałej ziemi — ani jednego bochenka chleba.

Wyrzucono ich na plac nadrzeczny, jak drwale zrzucają na spław pnie ściętego drzewa. Gdy przyjechali — na piasku nad rzeką Amu-Darją konało w dzień z upału i trzęsło się nocą z zimna ponad tysiąc polskich wygnańców. Pociągi dowoziły dalszych.

Mętna Amu-Darja, starożytny oxus, toczyła swoje wody gdzieś z Pamiru, z jakichś niebotycznych wzniosłości. Tu po tych wzniosłościach został tylko prąd ale rzeka już była rozlana szeroko, brudna i pełna mielizn. Szeptano, że zostaną wysłani w dół tej rzeki — na północ, ku morzu aralskiemu, w stepy jałowe, gdzie tylko przy brzegach Amu-Darji zalegają płaszczyzny bawełniane. Przed półtora wiekiem na pola bawełniane Luizjany wieziono porwanych murzynów, ale świat zaprotestował i ostatni okręt niewolników zakończył swój rejs przed stuleciem.

— Rozdawano nam chleb — mówi z uznaniem Hanka — ludzie nabierali otuchy: skoro rozdają chleb, to zapewne nas wiozą za wiedzą NKWD.

Jakże niedawno cieszyli się, że polscy „amnestjowani" (od czego? p. m.) wygnańcy zostają wyłączeni z pod opieki tej straszliwej instytucji.

Wreszcie któregoś dnia holownik przyciągnął cztery barki.

Wtłoczono na każdą po siedmiuset wygnańców z Polski. Holownik ruszył w dół rzeki, ku morzu aralskiemu. A więc domyślali się, że do bawełny, że do Karakalpakstanu. Usta z trudnością wymawiały trudną wschodnią nazwę. Dzieci płakały. — Starcy rzęzili, stłoczeni w kątach przy burcie, gdzie im starano się zrobić rezerwaty.

Trudno opisać cierpienia, jakie powodują ciągle skurczone nogi. Bezwładne stłamszone kadłuby ludzkie pokrył żółty dywan wszy. Barki były holowane po dwie w jednej linji — dwie więc szły naprzód, dwie z tyłu. Ci z przednich barek mogli czerpać z rzeki szlamistą wodę, ale ci z tylnych musieli czerpać ją wraz z ekskrementami 1400 jadących przed nimi osób.

Następnej nocy nagle skonstatowali, że hol ich barki został zluzowany, że barka została. Krzyki nic nie pomagały — statek z pozostałemi barkami oddalał się i znikł. Enkawudzici pochowali się.

Było jasne, że barta jest odczepiona celowo. Ale co będzie dalej?

Gdy zaświtało — wyłonił się niski mokry brzeg, pokryty nieznanemi krzewami.

Poczęli wychodzić na brzeg — nikt nie bronił. Krzewy okazały się obciążone jakiemiś dużemi owocami. Ktoś wiedział, że owoce nazywają się „dzida" i są jadalne. Były mączyste i słodko-mdłe z pestką w środku wielkości daktyla.

Kiedy już zrobił się dzień, posłyszeli niesamowity skrzyp. Od środka lądu ciągnęła cała karawana arb — wózków krajowców na ogromnych dwóch kołach dwumetrowej średnicy, o drewnianych osiach; koła były nie okute, tylko nabijane gwoździami.

Na wozach siedziały dzikusy, którym ledwo widać było oczy z pod ogromnych czap futrzanych; jedna czapa była robiona ze skóry całego barana. Dzikusy nie umiały mówić po rosyjsku; wskazywali gestami, aby ładować rzeczy na arby, że to niedaleko, że to zaledwie trzy kilometry.

Resztki poczucia praw osobistych tłukły się w ludziach: przecież nigdy wogóle nie mieli wyroków ani zsyłki administracyjnej jak tylu innych Polaków a od czasu umowy z rządem polskim byli obywatelami aljanckiego państwa. Chcieli wiedzieć, gdzie są wysyłani. Dowiedziawszy się, że osada nazywa się Szabas, wysłali do niej delegację.

Słońce wschodziło coraz wyżej i prażyło niemiłosiernie. Dzikusy obojętnie porozsiadali się na ziemi. Dzieci płakały, nikt dziś nie wydawał chleba. Dzikusy pokazywali na usta, że w osadzie jest przygotowane jedzenie.

Kiedy delegacja nie wracała — ruszyli do tej osady. Był to jakiś punkt lokalnej administracji; był przy nim szpitalik, do którego odesłano natychmiast wijącą się z bólów Olę.

Istotnie zastali przygotowany kocioł z kaszą. Po posiłku poczęto ich rozsyłać po kołchozach jako siłę roboczą do bawełny.

Rodzinie Korzeniewskich udało się otrzymać lepiankę, w której przedtem mieściła się szkoła.

Rozpoczęła się praca na polach bawełnianych. Jakże wiele ten biały, niewinnie wyglądający puch może zadać cierpienia nienawykłym palcom... Pracowało się w okropnej spiece. Norma wymagana — 30 klg. na osobę dziennie.

Chleba — tego jedynego i podstawowego produktu, którym, poza kartoflami w pewnych porach, odżywia się Rosja — nie było. Jadło się podpłomyki z „dżugary", słodkiej mąki jakiejś rośliny w rodzaju kukurydzy.

Białe pola bawełny w palącem słońcu...

Od świata dzieli mętna Amu-Darja, szeroka na kilometr. W Polsce ich uczono, że Wisła jest trzecią rzeką w Europie. (W Polsce mówiąc „Europa" nigdy nie uwzględniało się Rosji). A tymczasem ta trzecia rzeka w Europie miała 1.000 klm. długości a Amu-Darja, jedna z licznych, ma dwa i pół tysiąca kilometrów. Wszystko tu jest w innych wymiarach, jak w krainie Guliwera. Tu już, odcięta Amu-Darją, leży „Mavera-un-Nahr" — kraj za Amu-Darją.

Ludzie niemi w swoim gardłowym języku, patrzą jak ryby głębinowe; przez nich też szła wielka fala cierpienia a przecie dusze ludzkie na wszystkich szczeblach są jednakowe.

— Czy w Polsce są „kołchozy?" — można wyrozumieć z okrzyków „kołchoz", pytania w oczach i gwałtownej gestykulacji.

— „Jok, jok” — „nie” zaprzeczają energicznie Polacy. Ci odmienni tajemniczy ludzie z głębinowego świata rzucają się do rąk Polaków, całują te ręce...

* * *

W Samarkandzie zdarzył się taki fakt. Później już, o wiele później, kiedy dzieje rodziny Korzeniewskich były definitywnie skończone i przypieczętowane — pojawiły się w Samarkandzie oddziały formującego się wojska polskiego.

Z żywnością było źle, ale fantazji nie brakowało tym żołnierzom odradzającym się z nędzarzy. Pojawili się trębacze.

Trębacze zrobili nieoczekiwane wrażenie. Do dowódcy zjawiła się delegacja starców w pasiastych chałatach z kolorowemi krymkami na głowach, z tłumaczem rosyjskim.

Obyczajem wschodnim — nie można się pytać o cel przybycia. Siedzą w koło, ciągną z filiżanek ofiarowaną herbatę. Pytają o żony, o dzieci; stare jak świat konwencjonalne pytania wschodu, cytowane z uśmiechem przez podróżników, tutaj jakże tragiczną mają wymowę! Bo ci wojacy nie wiedzą przeważnie, gdzie są ich żony i dzieci, a często je świeżo utracili.

Wreszcie — wychodzi sprawa:

— Zagrajcie w piątek wieczorem przed naszym meczetem...

Uśmiechnął się pod wąsem dowódca: że to — polscy żołnierze będą kulturtraegerami na Wschodzie, że się tym poczciwcom muzyki na skwerze zachciewa... Coby im zagrać? No, już się tam coś wybierze... raz coś zawodzącego wschodniego a raz obertasa na odwyrtkę....

Ale goście mają jakieś życzenia co do programu muzycznego. No, proszę...

...żeby jeden żołnierz grał na trąbce. Jeśli wojsko polskie chce, żeby grali wszyscy, owszem, oni nic przeciwko temu nie mają... Ale oni tu przyszli prosić, żeby jeden grał na trąbce i żeby grał to, co kiedyś przerwał, kiedy oni byli w Lechistanie i ustrzelili trębacza na wieży świątyni w czasie grania...

War uderzył do głowy słuchającym oficerom. Każde dziecko to wie, że od siedmiuset lat hejnał grany na wieży kościoła Marjackiego, hejnał grany codzień o godzinie dwunastej na wszystkie cztery strony świata, urywa się nagle na najwyższej nucie. To na pamiątkę tego najścia Tatarów, w wieku XIII-ym, kiedy strzała tatarska przeszyła trębaczowi gardło w czasie grania hejnału. Ludność, według legendy, pod przewodnictwem cechu „włóczków" t. zn. flisaków ten napad odparła i od siedmiuset lat w rocznicę odbywa się po ulicach miasta barwny pochód „lajkonika", gdzie członek tej samej rodziny, która wówczas przewodziła włóczkom, przebrany za Tatarzyna z ogromną trefioną brodą, włożony w makietę wspaniale przybranego konia, którą opływa średniowieczny „kropież" — barwna opona do ziemi, tak, że nóg dźwigającego tę makietę nie widać i sprawia wrażenie, że harcuje na koniu — uwija się na czele barwnej świty po ulicach, tłukąc przechodniów ogromną buławą.

Każde dziecko wie o tem w Polsce. Siedemset lat... Nie wiadomo już, co legenda, a co rzeczywiste zdarzenie... A tu oni?

„Oni" też mają swoją legendę, związaną z tem zdarzeniem, która powstała w czasie odwrotu i klęski. Z niezdarnych słów ich starszyzny, ze stękania tłumacza można wyrozumieć, że ich kapłani wytłumaczyli klęskę tem, że zastrzelono „polskiego muezzina", wzywającego do chwalenia Boga. Że czasze sprawiedliwości są ciężkie. Że nie przeważy się zadośćuczynienia, nie będą miały ludy nad Amu-Darją pokoju ani wolności, dopóki trębacz z Lechistanu nie odegra tego samego hejnału w Samarkandzie.

Poradlone twarze starszyzny prześwietlają się uśmiechem:

Myśleliśmy, że przyjdziecie jako wrogowie... a ot, Allah, niech będzie pochwalone imię Jego, sprawił, że zdejmiecie klątwę tego czynu z nas jako przyjaciele.

W oznaczony dzień stanęli trębacze kolorowo i buńczucznie, z fanfarami, z „płomieniami" przy świecących trąbach przed turkusową kopułą Bibi-Khanum.

Wypełzły z ubogich lepieńców, stał tłum milczący i nieruchomy. A kiedy hejnał wspiął się na najwyższą nutę i zamarł — tłum przebiegł dreszcz jakby dopełniło się siedemsetletnie przeznaczenie i pękł urok.

2-go grudnia. Ola, leżąca w szpitalu w Szabasie, dowiedziała się, że pojedzie transport z powrotem w górę Amu-Darji, rzekomo na skutek interwencji władz polskich, które obejmą opiekę. Jak zwykle w Rosji — kazano wyjeżdżać natychmiast a kto nie zdąży, ten zostanie przy bawełnie. Ola dała tuziemcowi obrączkę złotą, dwa bochenki chleba częściowo oszczędzone. Częściowo wyskamlane i 150 rb., otrzymanych ze sprzedaży ostatniego łacha. Dała, jednem słowem wszystko, co posiadała, aby tylko zawiózł rodzinie kartkę z wiadomością, że mają natychmiast przyjeżdżać. Wydobyła też z „reispołmou" (zarządu gminy) i przysłała kartkę na danie przez „kołchoz" podwody pod rzeczy.

Wodostan o tej porze był niski, więc przysłano im „barżę" płaskodenną, niską i płytką, krytą brezentem. Jak pływający grób...

Barża jednak nie mogła wziąć ludzi, tylko bagaże. Ludzie mieli przebyć 40 kilometrów, gdzie rzeka się zwężała i stan wody był lepszy. Ola błagała, by ją zostawić. Trudno było patrzeć na jej cierpienia.

Kiedy wtoczono partję pod brezent — leżała w niej miazga ludzka nie reagująca na wszy, na brak jedzenia, na odrętwiałość nóg i na coraz częstsze śmierci wśród siebie.

W udręczonej półprzytomności tliło jedno pytanie: jeśli ich wysadzą na brzeg przeciwległy od dawnego obozowiska, po stronie zachodniej — może i prawda, że tu jest kontakt z władzami polskiemi, że pojadą do Persji, pod opiekę swoich, gdzie otrzymają pomoc aljantów. Ale jeśli po stronie wschodniej . . . Już stały brudne czerwone skrzynie śmierci, towarowe wagony dla przewożenia materjału ludzkiego, cuchnące otworami wyciętemi w podłodze, robaczywe i ponure.

„Sadis!"... (siadać!).

Wtłoczyli się... Może znowu będą jechać miesiąc, może

dwa... Może czerwonemu caratowi zbrakło akurat niewolniczego mięsa w tundrze pod kręgiem polarnym?

Biedni, bezwolni ludzie...

Ale ich wyładowano o kilkadziesiąt kilometrów na wschód, w miasteczku Kara-Kul, które należało do Obłasti Bucharskiej.

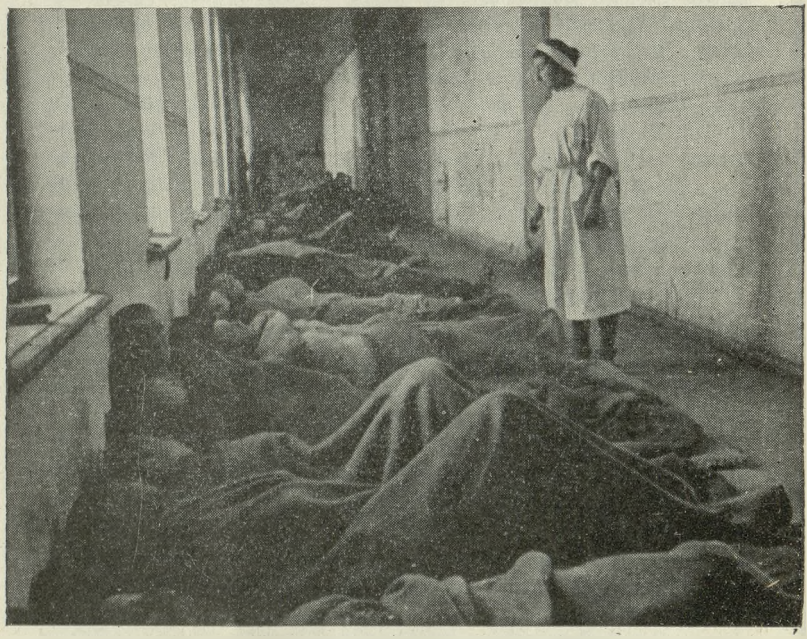

Odebrani z niewoli — ratowani od śmierci

Ola została w szpitalu, jeśli tak można nazwać te miejsca, w które zwalają chorych. Rodzinę Korzeniewskich wysłano do pracy do kołchozu „Woroszyłow". Jak wiadomo w Rosji Sowieckiej istnieje oryginalny zwyczaj nazywania miast, ulic i skwerów imionami żyjących ludzi, jak również stawiania im pomników. W tym względzie, o ile mi wiadomo, mógł z republiką Sowietów konkurować tylko b. Szach, który postawił sobie za życia kilkadziesiąt pomników, z czego pięć w samym Teheranie.

Pisarz rosyjski Katajew w swojej powieści „Defraudanci" pisze, że w pewnem mieście prowincjonalnem nazwano muzeum, główną ulicę, skwer i park miejski nazwą jakiegoś wybitnego towarzysza Iwanowa, który jednak potem „przekradł się". Ponieważ wydobycie nowych tabliczek emaljowanych nastręczało trudności, a pozatem obywatele przywykli do tych nazw, więc ograniczono się na domalowaniu literki b. na każdym szyldziku. „Ulica byłego towarzysza Iwanowa".

Kołchoz „Woroszyłow" był odległy od stacji 5 klm. i 8 klm. od miasteczka, w którem leżała Ola.

Rodzina Korzeniewskich ulokowała się w lepieńcu z gliny. Nie było w nim najmniejszego sprzętu, tylko przez całą długość biegła ogromna nara drewniana, zostawiająca tylko wąskie przejście wzdłuż ściany.

Uważając, że sześciu osobom będzie za luźno, dodano im na mieszkanie niejakiego Prokopa, chłopa z Lubelszczyzny, z tej właśnie prowincji Polski, do której wyniszczenia zabrał się bratni niemiecki totalizm w 1943 r., otaczając kraj kordonem, porywając ludzi do roboty, niszcząc fizycznie starców i słabe dzieci w obozach śmierci i wywożąc wyrwane matkom wybrane fizycznie dzieci do sierocińców w głębi Niemiec.

Praca była tego rodzaju, że całemi tygodniami nosiło się nasidłami po dwie osoby ziemię z jednego końca pola w drugi. Hanka nie umie objaśniać, poco to było potrzebne. Świadczy to tylko o tem, jak daleko w dusze ludzkie zapuściło korzenie niewolnictwo pracy.

Płaca teoretycznie wynosić miała na osobę pracującą pół kilograma dziennie mąki, w której było 50 procent jakiejś domieszki. „Żywieniec" t. zn. niepracujący miał otrzymywać 300 gramów dziennie. W gruncie rzeczy tragedja uralska miała tu się powtórzyć w silniejszym jeszcze stopniu. Mąki nie dawali prawie nigdy. Czasem dawali po 300 gramów ziarna na osobę.

Zaczyna się straszny głód. Tłum uzbecki naokoło jest kompletnie wrogi. Któż może wiedzieć, co powiedziano tym ludziom?

Jest przeraźliwie zimno. Prokop poczyna z gliny lepić piec. Nigdy tego nie robił. Spartolony komin wpycha z

powrotem do wnętrza kłęby dymu. Powstaje pożar, który ledwo ugasili. Zebrał się tłum uzbecki, grożąc, że ich rozszarpie.

Boże! — co też ci ludzie sobie wyobrażają? Żeby wiedzieć... Żeby wytłumaczyć...

Po dwóch tygodniach pobytu w kołchozie, na samo Boże Narodzenie, przywiózł Uzbek skrzypiącą arbą Olę ze szpitala. Szpital zdecydował, że nie może jej trzymać, więc ją odesłano, a ponieważ był „wychodnoj dzień" i nie można było odebrać jej ubrania — odesłano ją owiniętą w koc, który kazano Uzbekowi zabrać z powrotem.

Ola jęcząc, przy pomocy matki wdrapała się na pryczę. Zbliżała się wilja. Wrócił ojciec, który ostatniemi dniami chodził jak cień, z garstką kaszy. Matka spytała, skąd ją zdobył. Wobec bojkotu ludności niczego nie można było dostać. Długi czas nie mówił nic. Wreszcie pokazał na rękę, na której nie było obrączki

Złoto nie miało żadnej wartości w Uzbekistanie, nic więc dziwnego, że za obrączkę Korzeniewski dostał nieco kaszy. Niespodziewanie przekonali się, że bardzo są poszukiwane różne świecące guziki. Mieli ich trochę. Rozpoczął się każdym guzikiem zajadły handel. Każdy sprzedany guzik, to był targ o własne życie.

Nic nie pomaga. Jest jasne, że targ jest przegrany.

U 58-letniego Korzeniewskiego następuje szybki zanik mięśni. Przestaje chodzić na robotę. Przechodzi do kategorji „żywieńców".

Matka „poderwała się" w robocie. Nastąpiło osunięcie się macicy. Stara się robić po domu. Jest „żywieńcem".

Ola leży i jęczy. I ona nie chodzi na robotę.

Mały Jurek też jest zaliczony do kategorji „żywieńców", chociaż spala się chęcią pomożenia rodzinie. Ale ustawy sowieckie są liberalne; nie można zatrudniać małoletnich.

Antosia ma prawo i zarazem obowiązek pracy — ale to wisi na nitce. Przestała panować nad sobą. Pod pozorem handlu guzikami lata po wioskach i opowiada Uzbekom po polsku, jak to w Polsce było.

Nastrój — jak w łodzi podwodnej, której się wyczerpały akumulatory, która nie wypłynie... Cóż poradzą ci

trzej — ten twardy chłop z Lubelszczyzny, na którym skóra wisi na kościach jak materjał na strachy na wróble — ten były podchorąży, zdający sobie sprawę z tego, że mu żona umiera i nie umiejący nic poradzić — ta osiemnastoletnia dziewczyna, słaniająca się na nogach, z rozpaczą patrząca na konanie ojca, matki i siostry, na płonące gorączką głodową oczy młodszego braciszka?

Cóż poradzą, biorąc świtaniem ciężkie motyki, zwane na wschodzie „turije", tutaj „ketmany", aby kopać ziemię i nosić, kopać i nosić...

Wkoło stoi wieś szara, martwa, za lepionemi murami bez okien.

Gotuj w wodzie — makuchy wytłoczone z ziaren bawełny. Kiedy Hanka podaje matce kubek z nakruszonemi makuchami, matka długo ją gładzi po głowie i mówi cichym głosem:

— Kiedy umrę — pamiętaj o dziecku...

Dziecko — to Jurek.

I teraz jeszcze czasem coś się zdarza. Jest bardzo zimno. Uzbecy w porze letniej porobili zapasy uschłych łodyg bawełnianych. Ale rodzina Korzeniewskich ich nie ma. Więc ci, co mogą chodzić, w godzinach po skończonej robocie idą do miejsca odległego o trzy kilometry, gdzie są zostawione suche badyle. Pewnego razu jakiś Uzbek uderzył Prokopa za to „ketmanem" w pierś. „Ketman" zadał ranę, ale zleciał z trzona i Prokop go zatrzymał jako zastaw, grożąc, że poskarży się władzy. Władzy Uzbecy bardzo się boją. Dla załagodzenia i wykupienia „ketmana" dali owcę zdechłą przy porodzie. Było jedzenie..

Pewnego razu, w końcu stycznia, wlazł do lepieńca jakiś bezdomny parszywy psiak. Spojrzał kaprawemi oczami na ludzi szukając ratunku przed śmiercią głodową. Henryk z Jurkiem wymienili prędkie spojrzenia. Hanka z matką wyszły za drzwi.

Odtąd—polują na psy i koty—zwierzęta nieczyste w pojęciu Uzbeków. Lepieniec stojący za wsią—otacza powszechna pogarda. Spluwają przechodząc koło miejsca, w którem siedmiu parjasów czepia się życia.

Trudno jest, będąc szpiegowanym przez wszystkie dzieciaki wsi, polować na psy lub koty. Więc w „wychodnoj dień", (który już nie może tak ratować jak na Uralu, bo nie ma ani grzybów, ani malin, ani ryb, ani nawet pokrzywa w tej ziemi przeklętej nie rośnie) Hanka chodzi z Jurkiem pod odległy o osiem kilometrów Kara-Kul i dzieci zasadzają się na wałęsającego psa. Następuje obrzydliwa scena przywabiania pieszczotliwemi słowami zwierzęcia, które zbliża się z ufnością. Zabite zwierzę dzieci pakują do plecaka, aby nikt nie poznał co niosą. Ale te dziecinne bohaterstwa, te słabe dziecinne ręce nie mogły już postawić tamy wypadkom.

Dzesiątego lutego ojciec traci przytomność. Kona dziewięć dni. Kiedy przychodzą godziny przytomności, jest taki jak dawniej, jak w Katowicach... Oczy promieniują dobrocią. Wróciła troska o byt najbliższych, poczucie przynależności rodzinnej. Matka stale siedzi przy nim. Nie puszcza jej ręki. Jest to niestety, jedyny środek uspokajający, jedyne lekarstwo, które mu dać może.

Dziewiętnastego lutego, jak zwykle wieczorem, leżeli bezwładnie na tej długiej jednej pryczy. Palił się, jak zwykle, kaganek bez klosza. Kaganek koło dwunastej zgasł. W tej chwili posłyszeli westchnienie ojca. Kiedy zbudzili się rano, był już zimny. Zrozumieli, że to wtedy zapewne konał.

Trzeba grzebać...

Hanka biegnie do gminy. Nauczona doświadczeniem z „ketmanem" i ekspijacyjną owcą, grozi parwem, władzami, sama już nie wie czem. Muszą dać trumnę!...

Pomogło o tyle, że dali stare drzwi, zbyt krótkie, tak, że nogi zmarłego wisiały. Ciało leżało bez wieka na tych za krótkich drzwiach na dwukołowej arbie, podtrzymywane przez rodzinę. Wyładowano je na wydmuchu odległym o trzy kilometry. Prokop wykopał płytki dół, zagrzebał, potem stanął nad grobem i wygłosił chłopskie, komiczne i wzruszające przemówienie.

Tak pierwszy zmarł—senior rodziny Korzeniewskich.

Hanka nerwowo grzebie w torebce. Podaje mi szary porubrykowany kawałek papieru. Jest to metryka śmier-

ci, wydana przez „sielsowiet”—urząd gminny. Metrykę podpisał lekarz, urzędujący w innej gminie, który chorego nie widział. W rubryce „przyczyna śmierci” wypisał —„głód”.

Każdy naród ma swoje ulubione wyrażenie. Amerykanie mówią—„Okey”, Anglicy „All right”. Te wyrażenia w uproszczonym skrócie oddaja ducha narodu.

Naród rosyjski ma takie swoje słowo: „Oczeń prosto” (co dosłownie znaczy: „całkiem prosto” i ma sens: „zupełnie zrozumiałe, niema się czemu dziwić”).

Dlatego lekarz gminny w metryce wystawionej siłą wywiezionemu i bez sądu pozbawionemu życia obywatelowi „sojuszniczego państwa”, mającego już wówczas swoje poselstwo w Rosji, wypisał jako przyczynę śmierci —głód.

Oczeń prosto...

* * *

W początku marca pojechał do wojska polskiego Prokop.

Mąż Oli, podchorąży, snuł się z kąta w kąt. Kiedyś na Uralu mówił żonie, że napewno skończy wcieklizną. Teraz zdawał się bliski tego.

W połowie marca byli już opuchnięci z głodu. Matka powiedziała do zięcia:

—Idź...

— Ola czeka na kwiecień... — odpowiedział chrapliwie.

— Idź — przymknęła oczy — bo jeśliby ciebie kiedy spytali w Polsce, coś o tym czasie robił...

Na Uralu jeszcze mówili: „jeśli spytają...” Tu mówiło się w trybie warunkowym. Przymierzali się do tej teoretycznej ojczyzny, której nie zobaczą.

Mąż Oli poszedł.

— Stąd nie dam ratunku, stamtąd może się da — powiedział Hance.

Od chwili pogrzebania Korzeniewskiego w tym dołku na straszliwem bezludziu, które bez reszty zawiały piaski, bez księdza i ostatniej pociechy, bez obleczenia i bez trumny i bez ogrodzenia grobu—ogarnął Antosię strach przed śmiercią. Biega jak pies kilometrami po Uzbekach,

skamląc o lepioszki (podpłomyki). Ale Uzbecy nie mają litości dla brudasów moralnych, pożeraczy psów i kotów. Strach przed taką śmiercią trzęsie Antosią. A przecież „tam" („tam"—oznacza zawsze Polskę) była członkinią bractwa dobrej śmierci, miała w skrzyni suknię do grobu i gromnicę, miała gwarancję, że poprowadzą ją na miejsce wiecznego spoczynku biało ubrane członkinie Bractwa Dobrej Śmierci, że msza będzie śpiewana, ksiądz poprowadzi kondukt aż na sam cmentarz a na samym cmentarzu... na samym cmentarzu legnie sobie w pięknie opatrzonym grobie, kwiaty na nim będzie bractwo hodować i zawsze, czy za lat dwa czy za trzy dziesiątki gdyby przyszedł, tabliczka pod krzyżem powie wyraźnie, że tu leży Antosia taka to i taka, zmarła wtedy to i wtedy, opatrzona świętymi sakramentami i prosi przechodnia o westchnienie do Boga.

Antosia biegnie czasem na ów wydmuch, gdzie zasypano Korzeniewskiego. Stara się nawarstwiać, umacniać wzgórek piasku. Wypadający z wąwozów Pamiru wicher jednem uderrzeniem niszczy jej śmieszną pracę. Wówczas Antosia skrada się pod osiedla i kradnie rzodkiewki. Jeżeli Uzbecy złapią, zabiją bez litości karabszczuka (złodzieja).

Do pracy zostaje właściwie sama Hanka i ten Jurek, któremu jednak pracy w kołchozie nie dają, bo ustawodawstwo jest robotnicze i dzieci ochrania. Podobno też ochrania kobiety ciężarne... Ale na osiem dni przed porodem. Opuchła Ola leży w wiecznych ciemnościach pryczy.

Hanka na opuchniętych nogach chodzi do pracy. „Ketman" w opuchniętych rękach żłobi rany, które w rozdętem przez puchlinę głodową ciele nie chcą się goić. Kiedy wraca z pracy, przygarnia Jurka. Wie, że jeśli się kto uratuje, to chyba on... Pamięta, co zalecała matka...

Klęka z bratem i modli się. Stare słowa modlitwy są jak dobrze wypieczone pachnące chleby. Czasem po takiej modlitwie budzi się w opuchniętym Jurku dziecko:

— Pamiętasz, Hanka, jak gniewaliście się na mnie za strzelanie z procy w pokoju, gdzie stała ta meisseńska porcelana?... No i co—przynajmniej postrzelałbym so-

bie... wszystko jedno... Niemcy wzięli.

„Wszystko jedno, postrzelałbym sobie"—Hanka patrzy na opuchniętego nędzarza w szmatach, mówiącego zachrypłym głosem, który nagle rewindykuje sobie prawa do dziecinnych psikusów.

Hance łzy płyną po twarzy. Więc żeby przeciąć sprawę, każe bratu się modlić. Dzieci z trudem klękają na popuchłych kolanach:

„Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko! Naszemi prośbami racz nie gardzić w potrzebach..."

Drży przed porodem, który się zbliża. Rozpoczyna się w Wielki Piątek w południe. Na tę chwilę już przedtem uprosiły i przygotowały lekarza—wygnańca z Polski, pracującego o trzy kilometry. Siedział przy położnicy cały dzień i całą noc. Nad ranem powiedział, że kurcze zanikają, że trzeba wieźć do szpitala.

Na szczęście jechała na stację dwukółka naładowana skórkami owczemi. Umieszczono Olę na szczycie tej góry ze skórek, Hanka szła koło wózka. Ledwo Olę wzięli —trzeba było odjeżdżać z arbą na stację. Nie pozwolono jej zostać i wrócić piechotą, bo i tak traci dzień pracy dla kołchozu—niech pilnuje chociaż konia.

Jedzie więc z nim przed stację; poszli pić—jej kazali pilnować konia. Przed stacją niema ani drzewka. Siedziała w skwarze głodna cały dzień.

Boże—co teraz z Olą? A co z Jurkiem, z mamą?...

Przed wieczorem przechodziła jakaś Rosjanka. Spojrzała na opuchłą twarz dziewczyny i pokiwała ze zrozumieniem głową. Poszperała w torbie, dała dwa sucharki.

Dziewczyna jeden sucharek jadła z nabożeństwem, rozcierając drobne okruchy językiem o podniebienie.— Drugi schowała dla Jurka...

Chwilę ją zdjęła pokusa: przecież ten Jurkowy sucharek napewno był większy. Więc przecie, będzie sprawiedliwie, jeśli go wyjmie i odłamie ten mały kawałeczek, który będzie stanowił wyrównanie. Zdjęła ją nagła trwoga. Poczuła skurczem szczęk, że wchłonęłaby cały sucharek. Zwichnęła się całem ciałem nad tkwiącym w zanadrzu sucharkiem. Sprężeniem całego ciała walczyła

z pokusą silniejszą, niż ona sama. Z tego natężenia pot ją chwycił i słabość; sucharek ocalał.

Wracali pociemku; tubylcy ziejąc wódką, śpiewali jakieś swoje chrapliwe i zawodzące pieśni.

W domu Jurek zgotował zupę z narwanej w polu koniczyny; podobno to więcej syci, niż odwar z trawy.

Nazajutrz—musi iść do pracy. Więc matka, mimo, że już oddawna chodzić nie mogła—powlekła się tych osiem kilometrów, wybrawszy się za świtania, żeby jednak dojść.

Późnym wieczorem wróciła. Miała czarne usta, które poruszały się bezdźwięcznie. Hanka zrozumiała ten szelest słów:

— Wygnali mnie... Nie dopuścili... Chorych nie można odwiedzać... Służąca ze szpitala... zlitowała się... Powiedziała... Niema rezultatu...

Nazajutrz już niedziela—„wychodnoj dień".

— Haneczko — mówię — ależ to był pierwszy dzień Wielkiejnocy!...

Spojrzała na mnie wzrokiem, wracającym z jakichś dalekich przestrzeni:

— Tak — powiedziała z roztargnieniem — rzeczywiście. Nie uświadamiam sobie tego. Szykowałam się, żeby iść. Wieczorem „baba" — straszna czarna Uzbeczka, wbrew bojkotowi sprzedała mi lepioszkę. Zdobyłam lepioszkę dla Oli.

Świtaniem poszłam osiem kilometrów do szpitala. Panie, pan nie wie, co to jest chodzić na opuchłych nogach...

Spojrzałem mimowoli na jej nogi. Miały kształt normalny, tylko powyżerane były wielkiemi czarnemi plamami—śladami szkorbutu. Te „wizy sowieckie" zresztą miała większość przybyłych z Rosji.

Hanka zaczaiła się, wyczekała chwilę i wślizgnęła się do izby, w której leżała siostra. Z zapuchniętej twarzy przez wąskie szczeliny patrzały nieruchome oczy.

— Ola, czy dziecko rusza się w tobie?

Obrzmiałe wargi poruszają się bez dźwięku. Wreszcie —jakby z radjowego głośnika dopiero dochodzi głos, kiedy się lampy nażarzą:

— Nie. Módl się, żebym umarła.

Rozległy się kroki. Hanka rzuciła na koc lepioszkę i czmychnęła. Za przekroczenie regulaminu wyrzuca się chorych ze szpitala.

Nazajutrz poniedziałek. Hanka musi iść do pracy. Powlekła się matka.

Wróciła pociemku, przygarbiona, niosąc coś w plecaku. Jurek w nadziei, że to może żywność—podskoczył; otworzył plecak. Buchnęła woń trupia. Trup noworodka, niesiony dzień cały w straszliwym upale, rozłożył się.

„Ketmanami" Hanka i Jurek rozłupywali zeschnięty grunt. Matka nie mogła wyjść. Na pogrzeb ojca nie mogła wyjść tylko Ola. Głupie zagonione dzieci nie zmówiły nad tem ciałkiem nawet „Ojcze Nasz".

Czy może im się to coś nienarodzone i cuchnące zdawało tak obcem, tak nie człowieczem?

Czy może, tak jak zapomnieli Wielkanocy, tak opadało z nich wszystko ludzkie?

Jak pójść do Oli, kiedy jutro robota? Idzie jeszcze gdy jest ciemno, aby na rano na robotę na czas się stawić.

Jest jeszcze szaro, gdy się wślizguje do siostry. Cofa się, przerażona, że źle trafiła: na łóżku leży—kościo-trup; w fałdach zwisającej skóry ostro rysują się sterczące kości.

Ola zeszłego dnia powiesiła się na prześcieradle. Odcięto ją i odratowano. Dziecko wyszło martwe a spuchlizna opadła.

Szpital uważa, że już jest po porodzie i absolutnie grozi wyrzuceniem. Boże, przecież kołchoz nie da arby!...

Idzie z powrotem owych osiem kilometrów. Byle nie spóźnić się na robotę, byle ich nie zgniewać teraz, kiedy arba potrzebna.

Po drodze, jak zwykle, dzieci uzbeckie szczują ją psami. Zwykle miała wyrobioną metodę—chwytała grudę ziemi i biegła w kierunku psa, który się cofał. Tak samo zrobiła teraz. Ale nie zauważyła, że z tyłu natarł drugi pies. Nie zdążyła się obrócć. Wpił się zębami w udo. Krwawiąc, doszła do domu. Rana potem nie goiła się tygodniami w niezdrowem ciele.

* * *

Gdzieś tam, z daleka, pełzła pomoc, o której nic nie wiedzieli. Po wybuchach radości patrjotycznej na Uralu długi czas nie było niczego. Do wagonów widm, z których w biegu wyrzucano trupy zmarłych, do zawszonych, zaduszonych brezentem i wszami oraz po rzekach azjatyckich, do kopalń węgla i łotą, do „lesopowałów" (pasiek) w tajgach północnych, do zamulisk kanałów, kopanych w bagnach, do delt rzecznych ziejących malarją, do pól białej bawełny wżerającej się w poranione palce — do tych wszystkich „wolnych obywateli" czasem tylko jakieś niejasne dochodziły wieści przez gazety rosyjskie, gdzieś tam trąbki grały, maszerowały pułki i sypało się dużo, ile kto chce „corned beef'u".

Potem znikli mężczyźni, dążący do wojska, tak jak w rodzinie Korzeniewskich poszli do wojska Krokop i mąż Oli. Tak było wszędzie. Rodzina Korzeniowskich była na południu—jej mężczyźni mieli niedaleko do wojska, bo koncentracja wojska następowała na południu. Ci co mieli do przebycia tysiące mil, ginęli rodzinom z oczu. O ogromnych ich ilościach wiadomo w rodzinach, że wyjechali i w wojsku, że nie dojechali.

Pomoc dla rodzin—nie nadchodziła. O wysiłku polskim i o trudnościach organizacyjnych—piszemy gdzieindziej. Wskutek tych hamulców pomoc przebijała się o wiele wolniej, niż śmierć. W wyścigu ze śmiercią ta organizacja pomocy była poważnie handicapowana, kiedy śmierć miała wspaniały dopping.

Pomoc ta jednak doszła — słuchajcie, — aż do Kara-Kul, do tego miasteczka o osiem kilometrów od kołchozu „Woroszyłow", w którego szpitalu wieszała się opuchła z głodu położnica.

Przyszły wieści, że do miasteczka przyjechał przedstawiciel polskiej akcji opieki.

Inne rodziny polskie z sąsiednich kołchozów, mające w swoim składzie „żywieńców" mogących chodzić, skomunikowały się z nim wcześniej. Hanka, jako głowa rodziny, teraz musiała czekać „wychodnego dnia".

Delegat miał bardzo małe możliwości finansowe. Wyznaczył rodzinie Korzeniewskich 100 rubli miesięcznej zapomogi, co się równało cenie kilograma pszenicy. Ale

delegat miał mnóstwo darów amerykańskich — rzeczy bezcennych.

Chciałbym, ażeby ci litościwi ludzie, którzy przyczynili się do zbiórki odzienia na wygnańców polskich, przeczytali to moje opowiadanie i skonfrontowali swoje myśli, kiedy dawali te ofiary z tym momentem, kiedy ofiary były wręczane.

Jedni — może ziewnęli, dając te „łachy" i przestali myśleć o tem więcej.

Inni może pogardliwie wzruszali ramionami na manję filantropijną zbierających dam, które muszą jakoś czas zabić.

A może młode dziewczyny ofiarowujące znoszone sukienki wstydziły się, że dają takie rzeczy.. nie modne.

Chciałbym, ażeby wszyscy oni czytali tę książkę a zwłaszcza, ażeby ją przeczytał ofiarodawca starej męskiej koszuli jedwabnej.

Bo tę koszulę jedwabną i parę butów, grzebiąc w kupce darów, pozostałej po całotygodniowem wybieraniu przez wygnańców, ofiarował rodzinie Korzeniewskich delegat.

A nadto ofiarował rzecz większą. W ośrodku pomocy nadrzędnym nad nim, w Bucharze, ktoś zainteresował się losami rodziny Korzeniowskich, której ojciec był znanym w Polsce antyniemieckim działaczem i powiadomiono delegata w Kara-Kul, że Hanka otrzyma posadę w biurze polskiem w Bucharze. Delegat ofiarował się zaraz wystawić przepustkę, uprawniającą do zakupienia biletu do Buchary.

A więc — powrót do życia... Powrót do życia... Powrót do Europy... Czysty pokój, stół, syci i swoi ludzie naokoło gazety... I kąpiel pewnie!...

Fala krwi uderza Hance do głowy. Wybawienie jest takie nieoczekiwane, szczęście tak zawrotne!

— Pan delegat wystawi przepustkę dla całej rodziny?

Ale delegat wyraża żal — ma wyraźne instrukcje — przysłać Korzeniewską Hannę, lat dziewiętnaście z kołchozu „Woroszyłow".

— Drogie dziecko — zmienia nagle ton — przecie w tej sytuacji jest podobno dwa miljony. Nie możemy ura-

tować wszystkich naraz. Najprzód żołnierze, potem młodzież...

I wówczas Hanka spełnia największą ofiarę swego dziewiętnastoletniego życia. Nie wziąwszy papierów, wychodzi ze spuszczoną głową.

Delegat mieszka w drewniaku rosyjskim z ganeczkiem. Zaraz za drzwiami tak straszna rozpacz chwyta dziewczynę, że czarno robi się przed oczami. Siada na ławce, na której czekają kolejni interesanci.

Więc to już teraz — napewno śmierć... Na nic się jej ofiara rodzinie nie przyda. Przecie wie, że jeszcze jutro zwlecze się do roboty z „ketmanem", jeszcze pojutrze. A potem koniec.

Jedwabna męska koszula — ta ofiara dana w roztargnieniu przez kogoś w Detroit czy Chicago, zwisa bezradnie. Sąsiadka na ławce maca ją wprawnym gestem, szepcąc w ucho Hanki żarliwym szeptem:

— Wie pani, co koszula znaczy? Za dwie takie koszule można osła kupić. Ile mięsa...

Zachłystuje się z przejęcia:

— Zobaczymy, co mi delegat da; może zrobimy spółkę?

I nim nowa znajoma załatwiła z delegatem swoje sprawy, w Hanczynej głowie powstaje plan: kupić osła, zostawić im jedzenie, jechać natychmiast, wziąć posadę i stamtąd działać.

Obie kobiety wyprawiają się na drugi koniec Kara-Kul, bo jakby tak delegat przydybał, że sprzedają dary, które są przecie po to przeznaczone, żeby je nosić, a nie przemarnowywać.

Dobijają targu. Koszula jedwabna wyniosła udział pięćdziesięcioprocentowy rodziny Korzeniewskich w enterpryzie. Prowadzą osła w straszliwym żarze osiem kilometrów do posiołku Hanki. Osioł się opiera, trzeba go pchać. Pod posiołkiem należy wytężyć całą czujność. Osioł jest też u Uzbeków „tabu" do jedzenia i jeśliby spostrzegli, że pożeracze psów i kotów zabierają się do osłów, gotowiby byli ich zlinczować.

Ale upał jest tak rozprażony (jest samo południe), że kupa sypiących się lepieńców z gliny, która stanowi kołchoz „Woroszyłów" wygląda jak zamarłe staroegipskie

rozsypiska. Nie widać żywego ducha. Opierający się osioł zostaje wepchnięty do lepieńca Korzeniewskich, w wąski przesmyk między długą wspólną narą i ścianą. Pętają nogi osłu, owijają mu głowę, żeby nie ryczał. Dwa półżywe życia na pryczy czekają aż wejdzie w nie fala życia zarzynanego zwierzęcia. Oszalała Antosia gdzieś biega po polach.

Zarzyna Jurek jako jedyny mężczyzna w rodzinie. Potem przez dwie godziny sprawiają mięso. Starannie wycierają krew.

Trzeba się spieszyć. Trzeba coś zrobić, zanim się skończy te pół osła na te cztery osoby.

Hanka ponownie idzie do Kara-Kul po przepustkę, którą nierozsądnie odrzuciła. Trzeci to raz dzisiaj odmierza tę ośmiokilometrową przestrzeń. Jutro jest znowu dzień roboczy, ale ona już się nie stawi.

Przybywa zbyt późno. Okna delegata nie świecą. Siada na stopniu ganeczku. Niebo potężnie wyiskrza się gwiazdami. Dziewiętnostoletnie serce przepełnia się po brzegi wdzięcznością. Do Boga, do rodaków, do nieznajomego dawcy jedwabnej koszuli, że jej nie dali zginąć. Do całego świata.

Czyż wiele trzeba dla dziewiętnastoletniego serca? Hanka opiera głowę o słupek ganku i śpi.

Nazajutrz otrzymała przepustkę i ruszyła na stację. Butów — twardych jak skała, nie mogła włożyć na rozpuchłe nogi, więc je niosła związane sznurowadłami, przewiązane przez ramię i szła boso.

W drodze zaczepiają ją przechodzący Uzbecy, ażeby wymieniła buty. Patrzą na te buty pożądliwie, ofiarowują duży bocheń chleba...

Bochen chleba. Ale przecie już go z powrotem rodzinie nie poniesie, a przytem — jakże zjawiać się po posadę boso. Włoży je na siłę przed domem urzędu.

Mimo przepustki, biletu kupić nie może — do tego potrzebne różne inne zwolnienia z pracy i inne zaświadczenia. Wciska się w pociąg chyłkiem, wysiada, nie dojechawszy do dworca. W Bucharze, idzie do miasta okólną drogą, przechodzi pas muru otaczającego Bucharę, pyta o urząd polski; sami ludzie już tu ujrzawszy nędzarza

Wielką siłę regeneracji ma człowiek. Biuro delegata w Bucharze składa się wyłącznie z ludzi wyciągniętych z dna niewolnictwa. A przecie woźny urzęduje jak za dawnych dobrych czasów, z miną królewską, a przecie biurowe aniołki fruwają w zgrabnie przykrojonych i przystosowanych fularach z darów amerykańskich — tylko na łydkach noszą „sowieckie wizy".

Przed tem świetnem towarzystwem, przesuwają się widma ludzkie z bólem na wtłoczonych w buty opuchliznach, w spodniach skleconych z dwu spódnic, każda innego koloru, w resztkach jakiejś bluzki, z sękatemi rękami i zapuchniętą twarzą, z warkoczykami, podwiązanemi tasiemkami.

Czeka na krzesełku, aż wróci delegat z miasta.

Delegat nie okazuje żadnego zdziwienia wyglądem kandydatki na urzędniczkę. Daje pióro.

„Pani — „Pióro" — „Podanie"...

Drży ręka...

A teraz:

Kartka do składu na suknię.

Kartka do składu na koszulę.

Kartka na — codzienną! — rację chleba.

Urzęduje. Liczy kartki kartotek i wciąż myśli, bo równocześnie liczy dni, na które stanie osła. Nie odważa się prosić. Jeszcze przecie nie zjedli... Jutro napewno pójdzie do pana delegata. Stara się. Stara się bardzo. — Może delegat oceni. Bo jak odmówi — śmierć tamtym czworgu.

I... pamiętajmy, że to jest dziewiętnaście lat — obawa, że może nie ma prawa prosić, że i tak na ich jedną rodzinę zawiele wyświadczyła zrabowana, powalona, biedna i krwawiąca ojczyzna. Ją wzięli... Henka wzięli do wojska...

I tak przyszedł — czwarty dzień i wyrok doktora, że nie może pracować, że ma leżeć w łóżku, bo ta opuchlina może zostać na całe życie.

Rozpłakała się:

— Muszę pracować, bo nie sprowadzę rodziny!...

Ledwo położyła się — nastąpił napad półprzytomności. Po tygodniu chce wstać. Jest Boże Ciało. Przez te lata w

Rosji ani razu nie była w kościele. Idzie do biura. Widzi znajomego z Uralu, sędziego T. Sędzia zdetonował się widocznie i postarał się zniknąć. Czemu?

Mówią, że sędzia przyjechał z Kermine, gdzie stoi oddział Henka. Dlaczego się uchylił od mówienia z nią? W widoczny sposób się uchylił.

Ciężki niepokój przywalił dziewczynę. Wyszedłszy, spostrzegła auto z proporczykiem wojskowym.

— Czy to z panami przyjechał sędzia T.? — pyta szofera.

— Tak jest — odpowiada szofer. Ale nie może wskazać, gdzie się obraca sędzia.

— Czy pan nie mógłby udzielić mi informacji o podchorążym Henryku K.?

Szofer wpatruje się w Hankę:

— A pani?

— To mój szwagier.

— To pani jest panna Korzeniewska? — mówi ze zdumieniem; a mnie sobie pani nie przypomina?

Treza dziwi się Hanka.

Szofer pracował z nią razem na Uralu. Dostał się już dosyć dawno do wojska. I dlatego on wygląda o tyle lepiej a ona o tyle gorzej, że się poznać nie mogli.

— Wie już Pani, że pani Ola nie żyje?...

A z Olą było tak. Mąż wystarał się o możność zabrania rodziny. Wówczas w Rosji robiło się poprostu tak, że żołnierze dzielili się swemi racjami z polską ludnością cywilną. Im więcej tych biedaków zjeżdżało, tem bardziej malały racje.

Przywiózł rodzinę na stację ale wywieźć mógł tylko Olę. Żołnierze zanieśli ją z dworca do jakiegoś kąta wynajętego przez męża. Tam dogorywała trzy dni i zmarła.

Trzy dni też czekała na stacji kolejowej pozostała rodzina: matka, Jurek i Antosia. Kiedy dojechali na rano czwartego dnia do Kermine, komendant polskiej placówki na dworcu, którym był współtowarzysz uralskiej niewoli, Wnęk, skierował ich — wprost do kostnicy „jeśli pani jeszcze chce zobaczyć córkę”.

W kilka dni po otrzymaniu wiadomości o śmierci siostry Hanka, leżąca w stanie zupełnego wyczerpania, o-

trzymała list od Wnęka. Przysłał go korzystając, że z Kermine szła ciężarówka do Buchary po mąkę. Wzywał ją do skorzystania z ciężarówki i przyjechania do Kermine, bo „choć liczę na miłosierdzie Boskie, stan matki pani jest bardzo zły".

Ciężarówka ma ruszyć dopiero wieczorem. Wieczorem zajmuje w niej miejsce, ale napróżno. Ci co mieli jechać, nie zjawiają się. Siedzi całą noc w ciężarówce i myśli o matce.

Na drugi dzień rano już dobrze w dzień ale nie do Kermine. Ciężarówka miała polecenie jechać do Kahane po lekarstwa. W Kahane znowu wszyscy się rozbiegli. Słońce niemiłosiernie praży. Dziewczyna boi się opuścić wóz i siedzi na nim do wieczora.

Ruszyli na noc, zbłądzili. Chociaż Kermine odległe od Kahane o 136 kilometrów, jechali całą noc.

Po 36 godzinach nie wysiadania z wozu, po 48 godzinach od otrzymania listu, Hanka dobrnęła do matki. I do Jurka. Antosia gdzieś zapadła w obozie dla wygnańców, gdzie łatwiej było żebrać o żywność.

W uzbeckiej chałupie leżeli matka i syn. Chodzić już nie mogli. Opuchlizna z nich zeszła i zarysował się szkielet... straszny... jak tedy u Oli.... Jurek ma twarz starego człowieka, całą w zmarszczkach

O zapylone okienka chałupy uderza śpiew rzeźkich głosów. To obóz junaków. To tacy jak Jurek!.... Ratowani przez przejeżdżające eszelony żołnierskie, biedne dzieci konające z głodu po stacyjkach trasy, którą szło wojsko, hodowani z całą miłością, z całą troską tych żołnierzy, którzy też nie wiedzieli, co z ich dziećmi się stało.

Jurek podniósł swoją starczą twarz, słuchał i opadł na legowisko.

Hanka zakrzątnęła się koło porządków. Śpiew oddalał się jak odchodzące życie. Chora wodziła oczami za córką.

— Skąd ta Hanka bierze w sobie siły? — szepnęła do Jurka.

Dwa tygodnie Hanka pielęgnuje matkę. Pomaga jej przewracać się na drugi bok, bo chora nie ma już na to siły. Przychodzą chwile nieprzytomności, coraz dłuższe. Wreszcie biorą ją do szpitala.

W szpitalu wiele młodych, zdrowych pielęgniarek. Hanka słyszy śmiech. Ten śmiech przychodzi do niej z jakiejś przejrzystej powierzchni dawno zapomnianych wspomnień życiowych. Za długo pełzała po dnie nędzy.

Odwiedza matkę codzień; trzyma chorą za rękę, ale matka jej nie poznaje.

Piątego dnia pobytu w szpitalu — był to 29 czerwiec, 1942 r. — wchodzącą do szpitala spotkała jakaś wyfiołkowana pielęgniarka:

— O! Panna Haneczka... A pani mamusia już w kostnicy.

Kostnica zamknięta, ktoś z kluczem się zapodział... Powtarza sobie: „Trzeba mamusię ubrać, trzeba mamusię ubrać”...

Dopiero wieczorem dostała się do zmarłej. Oddawszy ostatnie posługi, biegła do samotnego, cały dzień brata.

— Co się stało? — wlepił w nią wzrok od progu.

Przysiadła przy nim na tapczanie, wzięła starczą męczeńską głowę tak, jak widziała, że to robiła matka. Przytuliła do siebie z całą żarliwością:

— Jurku — zostaliśmy sami.

...Trumien było brak. Pożyczano więc tylko trumnę na dowiezienie do cmentarza. Tam ciało wyjmowano z trumny i kładziono w dół a trumna wracała. Jurek na pogrzebie nie był, Hanka napróżno starała się o jakieś deski. Wróciła i zaniemogła.

Dziesięć dni leżały dzieci na łasce innych ludzi. Dziesięć dni patrzyły w kwadrat małego okienka, w którem wstawały świty i zasnuwały się zmierzchy. Za tem okienkiem — już nigdzie nie mieli nikogo. Antosia zmarła. W trwodze przed śmiercią — jadła, gorączkowo jadła. W dniu śmierci wykłócała się o chleb.

Czasem w nocy Jurek pytał z niepokojem:

— Hanka — ty umierasz?...

— Nie, Jurku. Czemu ty nie śpisz?

— Staram się nie zasypiać. Takie straszne sny przychodzą.

Zapalała kaganek, żeby mu dodać odwagi. Chyłkiem patrzyła w lusterko; z lusterka widniała zielona pomarszczona twarz.

Po dziesięciu dniach gorączka Hanki spadła. Ale Jurek zaczął mieć ataki serca. Dziewczyna cały wysiłek wkłada, aby go ratować. Przychodzi powrotna biegunka. Chłopak czasem nie ma sił podnieść głowy.

Punkty sanitarne są tak przeciążone, że do domu wezwać lekarza nie można, a Jurek nie ma sił, żeby na punkt dojść.

Pusta ulico! — Przecież są gdzieś jakieś środki, przyjdzie skądś jakaś pomoc!?...

— Pomoc — przyszła. Tak jak przyszła pomoc Oli i matce. Zapisano ich na transport do Persji jako sieroty. Znowu począł się wyścig pomocy ze śmiercią.

Wyjazd naznaczono na 7-go sierpnia 1942 roku.

Ale mogły jechać tylko dzieci zdrowe.

Jurek zaciął zęby.

— Pojadę — powiedział zdecydowanie.

W dniu wyjazdu dwaj żołnierze spletli ręce w krzesełko — donieśli go na peron. Na dworcu czekali od rana do wieczora. Wieczorem, kiedy trzeba było siadać do wagonu — Jurek wstał nadludzką mocą i poszedł. Szaro było. Nikt im się nie przyjrzał. Z trwogą szła za nim siostra, gotowa chwycić go pod ramiona.

Ewakuacyjne rozkazy dotyczyły tylko tych dzieci, które miały jakąś szansę wyżycia i odratowania.

W wagonie osunął się na ławkę.

— Jurku!...

— Może wrócę... do Polski... — wyszeptał.

Pociąg zwolna ruszył. Za oknami sunęły wydmy piaskowe — to tysiące grobów polskich, zacieranych przez wiatr. Kermine — co znaczy po uzbecku „Dolina Śmierci" — została za nimi. Jurek nie był na grobie matki. Starał się patrzeć przez okno w kierunku, który wskazywała siostra. Potem ją objął rękami i trząsł się w płaczu. Gładziła jego włosy, myśląc ze smutkiem, że nie mogła pójść pożegnać matczynego grobu, bo nie mogła opuścić Jurka.

Z ponowną siłą przypomniała słowa umierającej — „pamiętaj o dziecku"... Ale chłopak w jej objęciach był wiotki i ledwo oddychał.

W pociągu jednak okazało się wielu takich, co dowlekli się resztką woli. W drodze opróżniono jeden z wagonów, przeznaczając go na sanitarny.

Kiedy przenoszono Jurka, sanitarjusz powiedział obojętnym fachowym głosem:

— Poco go pani wiezie? Przecie on nawet do Krasnowodska nie dojedzie.

W Aschabad mają zostawić beznadziejnych. Jurek to słyszy i znowu skądś w nim się biorą siły: kiedy w Aschabad wchodzą sanitarjusze, podnosi się i o własnych siłach idzie do ustępu. „Bo przecież ciebie w Rosji zostawiliby przeze mnie."

Zostali w Aschabadzie ludzie leżący na noszach z oczami bezbrzeżnie smutnemi. Rozumieli, że tu, po tylu bohaterskich wysiłkach, skończyły się bezpowrotnie ich porywy powrotu do Polski.

* * *

Trzy dni jechali do Krasnowodska. Jurek żył. Może się przesili? Są już przecie lekarze... lekarstwa... djeta... To nie lepianka w Kara-Kul... Może się przesili...

W Krasnowodsku znieśli go na noszach do ogromnej hali. Po hali idzie komisja sanitarna. Komisja sanitarna już jest coraz bliżej. Jurek zrobił ruch — chciał użyć dawnego triku — powstać czy choćby siąść. Ale już nie mógł.

Komisja — doszła. I ogłosiła wyrok: „Zostawić w Krasnowodksu".

— Ja zostanę z nim! — woła siostra.

— Pani pojedzie. Doślemy go jak wyzdrowieje.

Sanitarjusze go ponieśli do szpitalnego namiotu.

— Niech pani nie histeryzuje.

* * *

Patrzyła, tropiła zdaleka, żeby nie dostrzegli. Widziała, do którego namiotu go wnieśli. Odczekała. Pobiegła. Wkradła się do namiotu jak suka, której zabrano małe.

— Jurek! Zostaję z Tobą!

— Hanka, jedź — musisz jechać... Uściskaj ode mnie mocno... Krysię... w Polsce...

Przepędzono ją. Krążyła dookoła namiotów rozbitych na tym piasku... Wpadła do tobołków, wzięła z nich coś, znowu schwytała chwilę, wślizgnęła się do namiotu:

— Jurek... Jureczku!... — przyniosłam ci fotografje...

Na kołdrę posypały się fotografje — i ta z ojcem w Rabce w białych spodniach przed samą wojną... I ich domek z ogródkiem.

Jurek położył na tem wszystkiem przeźroczystą dłoń:

— Nie żal ci, Hanka?

— Przecież przywiez... chciała powiedzieć „przywieziesz", ale skurcz jej zdławił gardło. Jakby ktoś krzyknął brutalnie: „Nie kłam!"

Wpadli z krzykiem. Że izolacja...

Nawet go nie pocałowała.

* * *

Potem jechała przez morze. Potem w porcie Pahlewi, na tamtej, perskiej stronie, trzy tygodnie kulgała w swoich podkutych butach od Polskiego Czerwonego Krzyża do Delegatury Ministerstwa Opieki Społecznej, od Delegatury do Ewidencji.

Nigdzie nic nie wiedzieli o Jurku...

Potem ją zawieźli do Teheranu, gdzie pracowała jako kelnerka w polskiej świetlicy. Potem zachorowała na tyfus, na zakażenie krwi w nodze, a kiedy w końcu października odzyskała przytomność, otrzymała w Duszpasterstwie akt zejścia Jerzego Korzeniewskiego.

Akt zejścia był wystawiony w dniu śmierci — 10-go sierpnia 1942 r. — tego samego dnia, w którym żegnała się z „dzieckiem".

* * *

Takie były dzieje wymordowanej rodziny Korzeniewskich.

KONIEC

Polskiego
3/25.
DONATED BY LODA and
DR. EDWARD C. ROZANSKI